

Tenenbaum Na poszukiwanie  
było stamkowo



EMIL  
TENENBAUM

NA  
POCZĄTKU  
BYŁO  
KŁAMSTWO





EMIL TENENBAUM.

NA POCZĄTKU

BYŁO KŁAMSTWO...

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI NOWOŚCI. — LWÓW, KOPERNIKA 3.  
1932.

---

---

Wszelkie prawa, w szczególności prawo przekładu  
i wystawiania na scenach zastrzeżone.

Copyright 1932.

by Księgarnia Nowości, Lwów.

---

---



22.507

---

TŁOCZONO W DRUKARNI I. FRIEDMANA WE LWOWIE, UL. SYKSTUSKA 4.

---

Mój wydawca prosi mnie, bym napisał wstęp do komedji: „Na początku było kłamstwo”. Nie sprzeciwiam się temu. Napiszę, tembardziej, że z przyjemnością „przejadę” się po autorze. Irytuje mnie już sam tytuł. Powinien brzmieć: „Niech żyje kłamstwo”. Albo podobnie... Wogóle z tym potężnym przejawem życiowym, jakim bezsprzecznie jest kłamstwo, ludzie nie mogą sobie dać rady. Wstydzą się, kłamiąc na każdym kroku. Jeszcze w sądzie wolno oskarżonemu kłamać. Mądre prawo. Droga do prawdy przez kłamstwo.

Czyż autor nawet najlepszej sztuki nie znajduje się w analogicznem położeniu, jak oskarżony w sądzie? Musi obronić siebie i bohaterów swej sztuki. On i jego bohaterowie zaatakowali spokojne, śpiące społeczeństwo, które w odwet ciągnie ich „pod sąd”. Muszą się więc bronić. Jeśli już autorowi nie zależy na swojej osobistej opinji, to nie śmie on jednak puszczać samopas lekkomyślnych swoich spółników. Należało kłamać do końca, a może- byśmy doszli do prawdy. Tak jak w sądzie.

Czcigodny, powszechnie znany doktor Chyl, nie potrafił żyć w szanownem towarzystwie rodzonej żony, dziecka i całego szeregu żon i mężów naszego społeczeństwa. Tego mu nikt nie daruje. Tak sobie, bez żadnej

przyczyny, opuścić „swoje” towarzystwo i pójść na tułaczkę „na seło ludy duryty”? Wykolejone indywiduum. Niech zginie. I zginie – zobaczycie, – bo co się stanie z jego wielką miłością, gdy go opadnie głód, albo zgoła reumatyzm? Autor nie chciał, czy nie umiał mu poradzić. Prokurator ma ułatwione zadanie, a adwokat straci ochotę bronięcia klienta. Mógłby w ostateczności powołać się na okoliczność łagodzącą, że ludzie w czasie wielkiej wojny przebywali olbrzymie przestrzenie, że obudził się w nich duch koczowniców. Na dowód można przytoczyć niczem nie ugazzone pragnienie tworzenia corazto szybszych środków lokomocji i możnaby stąd wysnuć daleko idący wniosek, że ten obudzony duch koczowniczy nie pozwala na utrzymanie dotychczasowej formy współżycia mężczyzny i kobiety. Możnaby, — ale do tego wszystkiego należy powołać cały szereg znawców, no i przedewszystkiem należałoby zbadać stan umysłowy przodków Chyla i jego przyjaciół, no i ich samych. Chyl powinien być zostać profesorem uniwersytetu i przedewszystkiem zbadać ile setnych procentu elementu semickiego znajduje się we krwi autora. Na podstawie tej ekspertyzy moglibyśmy sobie wiele dośpiwać o autorze i jego komedji.

Autor zaczępit tak od niechcenia o wszystkie bardzo pałace kwestje. Poruszył sprawę żydowską, chłopską, kwestje ekonomiczne, polityczne. Lekko palcem dotknął się strun. Wszystkie zadźwięczały... A my oczekiwaliśmy całej melodji. Może autor nie wierzy w możliwość harmonicznego ujęcia w melodję rozbieżnych tonów? A może nie umie?

Drugim zabłąkanym osobnikiem jest szalbierz naukowy Wito'ld Lang. Ten zamiast rozsiwać corazto nowe ideje, stara się ugruntonać jedną. Jestem przeciwnikiem rybujałości na temat właściwości rasowych, ale twierdżę, że Wigdor Lang nie nadaje się do wylegania jajek. W jego



rzadkich piórach niema odpowiedniego ciepła. Niema puchu. Na szczęście dostał po łbie i oprzytomniał.

Nie uratuje jednak autora, — ani komedji. Bo nie można przedewszystkiem bezkarnie igrać z tak poważnemi rzeczami jak teorie naukowe.

Teorja naukowa. — Nauka.

Nauka ułatwia człowiekowi życie. To samo wystarcza, aby cenić naukę. Pozwala ona nam przewidywać. Dzięki niej nie każda niewiasta, że jeśli dnia tego lub tamtego została zapłodniona, to za dzieńcień miesięcy urodzi dziecko. Albo za siedem. Na razie dzięki nauce zdobyliśmy tę pewność i to pozwoli matce na czas przygotować pieluszki.

I co powiedzą na to sceptycy, czy inni ignoranci?

Dzięki nauce, mamy koronkowe mosty, rzeźnie, samoloty, gazy dla użyźniania ziemi, mamy cudowne sposoby mnożenia ludzi i naodwrot zabijania ludzi (bezboleśnie na fotelu elektrycznym). Temu samemu sceptykowi odpowiem, że, jeśli istnieje ten sam głód, ta sama miłość, ten sam ból z przed setek i tysięcy lat, to dowód, że nauka przeświadczona o celowości istnienia tych minusów, nie usunę ich.

Wiemy już z fizyki ile energii zużywa się na pokonanie tarcia, a jednak nie byłoby życia bez tarcia. Nie moglibyśmy stać, ani chodzić, ani niczego wziąć do rąk. Tak samo ze złem, z minusami; one to warunkują plusy, wydobywają je na wierzch. Każdy jednak przyzna, że łatwiej znosi się ból siedząc wygodnie w waterklosecie, aniżeli w pozycji już dzisiaj dzięki postępowi techniki zapomnianej.

Czy można wobec tego wszystkiego, tak lekko potraktować narodziny nowej teorji? Tylko ignorant usiłuje w ten sposób ukryć swoje braki. Nie znaczy

to, że nie można się uśmieć z najpoważniejszych rzeczy. Ale nie wolno ich ośmieszać. Prawdą jest, że z czasem okazuje się, że ta lub owa teoria jest przestarzała, że polegała na błędzie, jakkolwiek w praktyce doskonale się urzeczywistniła i świat istniał do wykrycia nowych podstaw na podstawach starych.

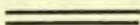
Ból, głód i chuć. Jest więc tyle pola do najrozmaitszych rozważań. Ile kombinacji na ten temat, ile wariacji, ile rachunków prawdopodobieństwa!

Zaryzykuję twierdzenie, że niema w życiu niczego śmiesznego, o ile się na nie patrzy i o niem mówi z szczerością w sercu.

Gdybym wiedział, że autor ma szczere serce, — przebaczyłbym mu nawet złą komedję.

\* \* \*

P. S. Radzę nielicznym czytelnikom nie wierzyć napisowi: „Nakładem Księgarni Nowości“. Komedja, przedmowa i nakład... autora.



# NA POCZĄTKU BYŁO KŁAMSTWO...

## OSOBY.

**Chyl Aleksander.** W pierwszym i trzecim akcie indywidualum z pod ciemnej gwiazdy. Charakteryzacja dowolna. W drugim akcie wyszukana elegancja.

**Lang Witołd** W pierwszym akcie goguś. W drugim akcie w płaszczu laboratoryjnym. Miła figura. Na dnie jego błyskotliwej inteligencji, rozpościera się przypłaszczona melancholja. W trzecim akcie w khaki.

**Marta.** Kobieta ponad lat trzydzieści, rudawa. Rezolutna. Umie żyć samotnie. Więcej daje, niż bierze.

**Żydzi i chłopci.** Płeć piękna i brzydka. Jak zwykle żydzi i chłopci. Nie stawiam specjalnych warunków charakteryzacji. W imieniu Witołda upraszam o względy dla języka żydów. Witołd nie lubi, by koślawiono mowę. Zresztą, — jak aktor i czytelnik sami uważają.

**Książę Skałeczki.** Arystokrata.

**Florkiewicz.**

**Estera Marcepan.**

**Kondukt or.**

**Cymbalista.**

**Inteligenci.**

**Lokatorka.**

**Chuderlawy.**

**Oficer.**

**Panicz.**

**Kupiec.**

**Żydówka z Wołynia.**

Spełniają bardzo ważną rolę, nie działając zupełnie w tym momencie, w którym uchwyciliśmy na gorącym uczynku coś, co się zwie życiem.



## AKT I.

Wagon pociągu będącego w biegu, przedzielony drewnianymi ściankami.

### SCENA 1.

Marta i Chyl siedzą naprzeciw siebie przy oknie.

MARTA. ...nie widzę przyczyny pańskiej egzaltacji..

CHYL. Nie jestem egzaltowany droga pani. Mówię tylko to, co naprawdę odczuwam. Szczerze jestem wdzięczny przy-  
padkowi, że panią wreszcie poznałem.

MARTA. Gdyby nie ta słynna awantura ze skradzioną walizką,  
bylibyśmy w dalszym ciągu parą nieznanym ludzi..

CHYL. Złodzieja, który mi umożliwił poznanie pani, błogo-  
sławię ..

MARTA. A ja pana błogosławię, żeś mi odebrał z rąk rzezi-  
mieszka moją walizkę z okazowemi książkami... Udało się  
nam obojgu... Podziwiam pański spryt w odszukaniu zło-  
dzieja...

CHYL. Trzy lata wędruję po najrozmaitszych szlakach kole-  
jowych i dróg kołowych, więc się zna ludzi o podobnych...  
zamiłowaniach. Zastrzegam się z góry, że nie jestem zło-  
dziejem...

MARTA. Przestraszyłam się; nie uśmiecha mi się znajomość  
ze złoczyńcą...

CHYL. Jestem nim... Myślałem, że mię pani zna... to znaczy  
niewiedomo dlaczego czepiałem się tej myśli, że pani zwró-  
ciła na mnie uwagę...

MARTA. Wiem, że od kilku miesięcy spotykamy się w po-  
ciągach... krążymy — jak widzę — jako dwie sąsiadujące

planety.. Nie przeczuwam mimo wszystko w panu.. złego człowieka.

CHYL. Od dzisiaj się znamy. Oficjalnie się znamy. Proszę pani, ja sobie doskonale zdaję sprawę z tego, że pozostaję poza wszystkim, co tchnie oficjalnością i konwenansem, — a jednak używam tych wyrażeń i pani mnie rozumie mówiącego tym towarzyskim językiem. A przecież jestem... byłem majorem lekarzem Chylem, który po odsiedzeniu dwóch lat więzienia, żyje z kurfuszerki, uprawianej wśród ciemnych mas prostych ludzi... Ja śmiałem pragnąć panią poznać i z panią mówić..

MARTA. Aż tak?.. (wesoto) Mówi pan, jakgdybym była gwiazdą ekranu. Po prawdzie powiedziawszy jestem trochę za... doświadczoną, aby upajać się przyjemnymi słowami..

CHYL. Nie umiem widocznie przemówić do pani tak wyraźnie aby mogła odróżnić słowa z krwi płynące, od słodkich słóweczek. Niemniej ja pani jeszcze coś powiem, bo muszę. Od kilku tygodni panią znam. Ja panią znam. Towarzyszę jej jak cień. Bo muszę. Wypowiadam się pani z wielkiego grzechu, który mnie nęka od szeregu tygodni. Bo miłość moja jest grzechem.

MARTA. Egzaltacja godna poety.

CHYL. I to właśnie jest moim grzechem, że mnie ogarnęło uczucie duże, tak niewspółmiernie ogromne w stosunku do mojego stanowiska w świecie, do moich możliwości poruszania się wśród ludzi, w stosunku do możliwości zbliżenia się do... pani. Słusznie pani powiedziała. „Egzaltacja godna poety“ nawiedziła kogoś, któremu odebrano prawo do poezji.

MARTA. Pan wyolbrzymia tę dysproporcję pomiędzy sobą, a światem — do granic, których rzeczywistość nie ustanawia. Prawo powiada, że człowiek po odbyciu kary jest bez winy. Przeszłość nie istnieje i nikt nie śmie jej panu wypominać.

CHYL. Niestety społeczeństwo nie jest matką karcącą dziecko choćby najdotkliwiej, aby po chwili przywrócić je do łaski i miłości matczynej i przytulić do piersi kochającej i wyrozumiałego serca...

MARTA. Uważam, że każdy człowiek ma do spełnienia swoją misję...

CHYL. Jakaż ta moja misja? Wędrowanie od wsi do wsi, od

osady do osady, kurfuszerowanie wśród chorej biedoty za byle grosz, łyżkę stawy lub bartóg?..

MARTA. Lubuje się pan w poetycznych wyrażeniach. Czy nie prościej to brzmi, że tą kurfuszerką zarabia pan na życie, tak jak ja utrzymuję się z sprzedaży książek „Lekarz domowy“, czy „Piękno ciała ludzkiego“. Zresztą przynosi pan tym ludziom pomoc; ostatecznie jesteś pan mimo wszystko lekarzem...

CHYL. Nie wolno mi leczyć tak, jak mnie uczyli.. Nie pozostawiono mi tej satysfakcji.. Moi pacjenci to ludzie, którym oficjalna medycyna nie pomogła.. Ci uciekają od lekarzy zawodowych i ich metod leczenia. Pozostaje mi do dyspozycji znachorstwo.. konkurencja z czarodziejkami i babkami.. odczytywanie uroków. Wśród tych wstrętnych praktyk, przemycam jakiś istotny lek przez siebie skomponowany i tak wyglupiam się.. Często mam wstręt do siebie samego, kiedy pomyślę o tych sposobach zyskiwania zaufania prostaczków, przy pomocy strojonych min i grymasów i specjalnie skonstruowanego znachorskiego języka.. Taki jest mój los.

MARTA. Nie lubię ludzi, zrzucających odpowiedzialność z siebie na los...

CHYL. Wszystko jedno czy misja, o której pani mówi, czy los..

MARTA. Misja, mój miły panie, to świadomość celu, a los to tylko stwierdzenie po fakcie, że tak musiało być..

CHYL. Ach gdyby to człowiek naprawdę mógł postępować wedle swej woli.. Ale to nieprawda. Jesteśmy igraszką w rękach kogoś nieznanego, który poczyna z nami co mu się zachce.. bez planu i bez miłości dla nas. Chaos ..

MARTA. Ma pan poczciwe oczy; nie przypuszczałabym nigdy, że pan tak czarno patrzy na świat.. To tylko brak sił dyktuje gorzkie słowa...

CHYL. Myślę o tem przez tyle lat.. tyle długich lat więzienia i tułaczki, że przecież ja sam tego sobie chyba nie zrobiłem. Czy pani wie, że przed laty, tysiące ludzi stawało przedemną na bacność. Czy pani rozumie co to znaczy: „na bacność“. Nie ruszali się, póki ja nieprzeszedłem, a ich stojących, wyprostowanych, nie zostawiałem za sobą. Byłem autorytetem. Moje orzeczenia lekarskie decydowały o losach tysięcy ludzi. Czekali na mój wyrok, od którego zależało, czy

ich życie pójdzie po tej linii o jakiej marzyli, czy po linii przeciwnej ich zamiarom... Coś we mnie chciało jeszcze więcej: więcej atorytetu, więcej pieniędzy. I stałem się przekupnym... Dzisiaj pokutuję za swoją przewinę i pani mówi, że ja mam do spełnienia jakąś misję...

MARTA. Choćby tę, aby być przykładem dla tych, którzy jeszcze nie siedzieli w więzieniu, a chcą więcej mieć jak mają...

CHYL. Gdybym mógł wrócić do dawnego stanu i mógł pracować i żyć normalnym życiem, za którym tęsknię! Wie pani, chciałbym jeszcze pracować naukowo...

MARTA. Żał mi pana.

CHYL. Człowiek jest samotny, aż się nieraz boję. Czasami napada mnie paniczny strach przed tym ogromem świata, na którym sam się poruszam. To uczucie zbędności... Proszę mi wierzyć, że niczem jest nędra i głód, wobec świadomości, że się jest niepotrzebnym...

MARTA. Ależ takich jak pan jest bardzo dużo na świecie.

CHYL. Ja ich nie widziałem. Dotychczas nie spotkałem nikogo, z którymbym mógł porozmawiać o tem, co gnębi i boli. Czy pani wie, że od wielu lat z nikim o tem wszystkim nie mówiłem.

MARTA. Naprawdę cieszę się, że dałam panu sposobność — jak to mówią — wygadania się. To przynosi ulgę...

CHYL. To też rozmowa z panią przyniosła mi ulgę. Inni ludzie, a tyłu się ich spotyka, są tacy da ecy odemnie, jacyś inni, tacy osiadli. A pani nie trudno człowieka pojąć takiego jak ja, bo i pani to taki latający Holender.

MARTA. Ano tak.. latający Holender. Nie żądam od ludzi zrozumienia. Nie wiem nawet co to znaczy: zrozumieć drugiego. Co komu z tego przyjdzie? Jak ktoś pana „zrozumie”? Jeden wysłucha ot tak z ciekawości, jakby książkę przeczytał i dalej pójdzie do swoich zajęć, bo i on ma jakieś niezagojone rany. Ludzie nawet nie mogą pomóc, gdyby chcieli. Pomóc człowiekowi znaczy siebie całego dać, a tego nie może każdy zrobić... Nawet niema prawa.

CHYL. A mnie się wydaje, że jestem najniezszczęśliwszym z ludzi. Zdaje mi się, że cierpię za wszystkich i mam prawo żądać od wszystkich pomocy.. We mnie coś krzyczy o pomoc i nikt się nie odzywa... Cisza.. Czasami konstatuję, że wszystko



- przedemną ucieka i rzeczy i ludzie. Usuwają się przeszkody. Gdybym się mógł upić... nie myśleć... niczego nie chcieć. Nie umiem się upić, muszę na trzeźwo spełniać swoją „misję“, jak pani to nazywa...
- MARTA. Że też pan nie dostrzegł, żeśmy wszyscy z osobna tacy mali, niedostrzegalni wobec ogromnych zagadnień, palących kwestyj. Wobec milionów ludzi z ich tragedjami i radościami jesteśmy... pyłkiem.
- CHYL. Pani ma tyle pogody... Roztacza pani wokół siebie ciepło rozprószone w promieniach dobroci.. Grzeję się w tem słońcu.
- MARTA. Powiedziałam panu, że jesteś poetą.. Ja się nie zastanawiam nad sobą i dobrze mi z tem Życie nie jest lekkie. Ale trudno. Nie może być inaczej Człowiek najeździ się, natłucze.. ale za to ceni sobie wypoczynek, kiedy po kilkutygodniowej podróży znajdzie się w swoim dobrze posłanem łóżku..
- CHYL. Pani ma swój ką..
- MARTA. Każdy człowiek może jakiś ką nazwać swoim.
- CHYL. I kogoś swojego..
- MARTA. Nie mam już nikogo.
- CHYL. ...Już?
- MARTA. No... bo... jestem kobietą z przeszłością.. Porzuciłam męża.
- CHYL. Dla kogo?
- MARTA. Dla siebie samej. Pił, upijał się, a w stanie pijanym bywał gwałtowny. Pozatem stracił posadę. Zaczęło być ciasno, nie mieliśmy dzieci i za sobą nie tęsknimy, więc rozeszliśmy się.
- CHYL. Zostawiła go pani kiedy stracił posadę?
- MARTA. Została mu renta inwalidzka. Był ranny na wojnie jako porucznik. Uwolniłam go raczej od siebie. Niech pan nie sądzi, że go tem zbytńo zmartwiłam. Od pierwszej chwili naszego małżeństwa nie mogłam się przyzwyczaić do jego zbytńiej pewności siebie i rażącego samopoczucia, tak charakterystycznego dla ludzi wojskowych.. Ale przewyciężyłam siebie, bo nie wyobrażałam sobie, że można opuścić męża i dom. Wychowano mnie tylko na żonę... na „panią domu“...
- CHYL. Aż kiedy stracił posadę.. i nie mógł pani dać potrzebnego dla jej wygód pieniądza, opuściła go pani.

MARTA. Prawieże dlatego. Przestał mi poprostu imponować. To jest konieczne w małżeństwie. Zarabiał na moje utrzymanie... rzucał mi po pijanemu pieniądze i pijane słowa. To było w porządku. Kiedy natomiast stracił posadę i zamiast pieniędzy, potrzebnych dla utrzymania domu, rzucał tylko pijane słowa... wtedy stał się śmieszny.

CHYL. Kiedy przestajemy zarabiać, to tak jakgdybyśmy stracili męskość i żony nas opuszczają...

MARTA. Pan ma żonę?

CHYL. Miałem. Po skazaniu mnie na więzienie, ogłosiła w dziennikach, że zemną niema nic wspólnego. Uzyskała separację i z dzieckiem przeniosła się do swojego ojca. Zdawało mi się, że mnie kocha... (śmieje się) Pobraliśmy się z miłości.

MARTA. Przestał jej pan imponować.

CHYL. Opuściła mnie w najcięższej chwili...

W międzyczasie wsiadają i wysiadają pasażerowie:  
żydzi, wiejskie baby i chłopci.

Na scenie zostają Żyd I Żyd II. Baba I. Baba II.  
i Chłop I. Chłop II. Chłop III.

MARTA (wygląda przez okno) Gdzie my jesteśmy?

CHYL. Pani dokąd jedzie?

MARTA. Mam miesięczny bilet jazdy. Wsiądę gdzieś, rano. Oszczędzam na hotelach, a przytem brudno w żydowskich zajazdach. — Wolę spać w pociągu. Przyzwyczaiałam się do tego życia.

CHYL. Przeszkodziłem pani w spaniu. Musiałem z panią mówić o wszystkim, bo mi się zdaje, że już drugi raz pani nie spotkam, — że pani nie zechce ze mną mówić. Proszę jednak pamiętać co pani mówię... Może być, że sobie ubzdurałem, ale tę świadomość mam od kilku tygodni, że...

MARTA. Że co?

CHYL. Że w pani jest mój ratunek... bo kocham panią!

MARTA. Mówiliśmy o tylu zajmujących tematach, a pan znowu ze swoją poetyczną egzaltacją. Wygoi się rana. Panie... Jak panu na imię?

CHYL. Aleksander.

MARTA. Panie Aleksandrze.. — ja nazywam się Marta Florkiewicz.. — A pan dokąd jedzie?

CHYL. Nie mam celu podróży. Jeżdżę... chodzę.. często nie znam nawet nazwy miejscowości, w której się znajduję. a czasami dziwne mi, że po całodziennej wędrówce znajduję się w miejscowości, z której rano wyszedłem.

### SCENA 3.

Konduktor sprawdza bilety u nowoprzybytych  
chtopów i żydów.

KONDUKTOR. (przechodząc obok Marty i Chyla — do Chyla) Pan doktor — jak zwykle — bez biletu?

CHYL. Jest kontrola?

KONDUKTOR. Ten sam kontroler, którego żonę pan wyleczył..

CHYL. (do Marty) Leczyłem ją na odległość.. Nie widziałem chorej..

KONDUKTOR. Powiedziałem mu, że pan doktor jedzie w tym pociągu. Ucieszył się, bo ma jeszcze jakieś zapytanie..

MARTA. Widzi pan, że jesteś komuś potrzebny..

KONDUKTOR. Jeszcze jak potrzebny? Prosił mnie naczelnik stacji w Dralkinie, abym pana przysłał.. Córeczka jego choruje od sześciu tygodni.

CHYL. Będę tam w tym tygodniu. Jak się ma pańska matka?

KONDUKTOR. Dzięki panu doktorowi dobrze.

CHYL. To się cieszę.

KONDUKTOR. Trzeba mi iść do roboty.. (kłania się i wychodzi.)

### SCENA 4.

CHYL. Wsiadę tam gdzie pani, jeśli pani pozwoli..

MARTA. Skoro to panu jest przyjemne..

CHYL. Przyjemne? Stan zbyt luksusowy dla takiego nędzarza. Za panię jeżdżę jak pies za panem, do którego zabłąkawszy się, przyzwyczaił się.

MARTA. Analogie doskonale służą do wyjaśnienia niektórych sytuacji.. Ej panie Aleksandrze! Zalecasz się nie na żarty.. Boję się, że zavrócisz mi głowę, a mam na niej dość dużo siwych kosmyków..

**CHYL** (całuje ją w rękę) **Pani Marto... Marto !**

Na tę chwilę wchodzi do wagonu Witold Lang.

## SCENA 5.

**WITOŁD.** Czy jest tu wolne miejsce? (nikt nie odpowiada)  
...dziękuję.

**MARTA.** Arogancki żyd.

**CHYL.** Wszędzie to się pcha.

**WITOŁD.** (Powoli układa swoje rzeczy, poczem zwraca się do Marty)  
Mam szczególny słuch, łaskawa pani dobrodziejko. Tego pierwszego słowa nie słyszałem, a co do drugiego... już nim nie jestem. Od dwóch miesięcy wierzę w kościół katolicki...

**MARTA.** Nie jestem ciekawą pańskich enuncjacji...

**WIT.** Jak wnioskuję z sposobu wyrażania się, mam do czynienia z osobą wykształconą... „Enuncjacja“! Świetne wyrażenie... Nobliwe. Nie nadaje się do wagonu 3 klasy.

**CHYL.** My nie chcemy mieć z panem nic do czynienia.

**WIT.** Szkoda. Nie należy się odżegnywać od przypadkowych znajomości. Taka znajomość jest jak los loterii klasowej: jest bardzo tani i dość często wygrywa, a przynajmniej stawkę. Czasami nawet więcej, dlatego...

**MARTA.** Poznać, że się pan niedawno wychrzcił; żydowska interesowność z pana wyłazi.

**WIT.** To dziwne. Mój wuj, adwokat dr. Kohn, pani go zna... chociaż on jest żydem.

**MARTA.** Nie znam pańskiego wuja...

**WIT.** W Koziołkowie, w kancelarii mojego wuja zjawiała się pani pewnego dnia oferując jakieś książki. „Piękno ciała“ czy „ducha“. Mój wuj był w fatalnem usposobieniu... w tym bowiem dniu zawiadomiłem go o porzuceniu wiary jego ojców. On właśnie był aroganckim wobec pani, ale nie dlatego, że jest żydem, tylko dlatego, że ja nim być przestałem...

**MARTA.** Przypominam sobie. Pan mu zwróciłeś uwagę na niestosowność zachowania się wobec kobiety, a nawet dzięki pańskiej interwencji udało mi się sprzedać egzemplarz „Lekarza domowego“. To pan?... nie poznałam... Dziękuję panu...

**WIT.** Więc znowu nie jest tak źle mieć ze mną do czynienia, panie doktorze. Otóż ten doktor Kohn oświadczył mi — ani

mniej ani więcej, tylko to, że moja gojska lekkomyślność doprowadziła mnie do tego stanu, w jakim się znajduję. Komu więc wierzyć, a raczej na kogo mam się gniewać, bo i pani chciała, bym obraziwszy się na nią, opuścił przedział i mój szanowny wuj radby mnie nie widzieć... Nie wiem czy mam żydowską głowę do interesów, czy gojską lekkomyślność... A może ja przeszkadzam państwu? Jestem gentleman... Rozumiem... Przypadkowe znajomości w pociągu, kończą się często... pociągiem..

CHYL. Nie bardzo pan pachnie gentlemanstwem, grzeszy pan natomiast zbytciem orientacji. Mnie pan przeszkadza.

MARTA. Cóż znowu? Proszę zostać.. Bilet jazdy upoważnia pana do zajęcia miejsca w każdym wozie trzeciej klasy.

CHYL. Najwyżej możemy się panem nie krępować.

WIT. To nic nie szkodzi kochany doktorku... Proszę się czuć jak u siebie w... domu...

MARTA. Panie Aleksandrze... byliśmy wobec tego pana niesprawiedliwi...

WIT. To nic nie szkodzi. Ja osobiście mam serce tak kipiące miłością dla całej ludzkości, że wszelka wobec mnie niesprawiedliwość topi się w niem i wyparowuje jak kamfora. (wyjmuje z walizeczki jadło) Może państwo pozwolicie skromny posiłek.. butersznycik, — a może nieco cienkiego winka...

MARTA. Dziękuję.

WIT. (je) A ja tylko wsiałam do wagonu i już jestem głodny... Wogóle w podróży obowiązuje całkiem inna etyka żołądkowa. Może przecież pan zje ze mną... Wracam właśnie od swojego wujaszka Kohna... Boże! Jak ci ludzie mnie serdecznie żegnają... kurczątka smażone, ciastka, butersznyciki i wino... Proszę się nie krępować panie doktorze...

CHYL. Nie jestem doktorem...

WIT. Wiem... wiem o wszystkim. Mam wielce ułatwione życie, bo wiem wiele rzeczy niepotrzebnych...

CHYL. Mnie pan chyba nie zna... Nie byłem ani razu u pańskiego wuja adwokata Kohna w Koziółkowie...

WIT. Mój stryj... w odróżnieniu od wuja, jest lekarzem w Stryju. On właśnie mi wiele opowiadał o panu... Skarzył się, że pan leczy ludzi z tamtejszych stron... chciałby nawet donieść policji o panu, jako partaczu.

CHYL. Tylko mu pan pewnie odradził... tak z dobrego serca, nie znając mnie...

WIT. Nie! Nie radziłem mu, bo on sam mi oświadczył: „nie mam prawa żyć na tym świecie, nie umiem się bronić przed konkurencją znachorów i partaczy... Denuncjować nieszczęśliwego kolegi, tego nie potrafi Korkes.“

CHYL. Ach! Korkes,— Dobry kolega... jeszcze z czasów uniwersyteckich...

WIT. A widzi pan, że mogę się poszczycić swoją parantelą. Dr. Kohn z Koziółkowa, Dr. Korkes ze Stryja. Teraz już pan wie kim jestem? Tacy są moi krewni i taki ja jestem.

MARTA. Jak widzę jesteś pan wszechwiedzącym. Wchodząc do wagonu pewnie wiedziałeś, kto w nim jedzie...

WIT. Pani zgadła... Konduktorzy mnie znają... To wesołe bractwo ci kolejarze... grywamy często w karty... lubią mnie... I dzisiaj mi zameldował konduktor o tem, jaki jest stan czynny załogi. W ten sposób dowiedziałem się, że pan doktor jedzie...

MARTA. A o mnie pan wiedział...?

WIT. Nie interesowałem się panią... a pana Chyla szukałem.

CHYL. Nigdy nie przypuszczałem, że się mną ktokolwiek interesuje...

WIT. Ja o panu dość często myślałem w związku z najrozmaitszymi planami. Proszę państwa, przedewszystkiem musimy się posilić... to znaczy państwo coś zjedcie. Bo ja już nasyciłem swój głodny żołądek...

MARTA. Jestem spragniona; wypiję kieliszek wina.

WIT. Proszę bardzo. (Nalewa i podaje wino w kubku z termosu)  
A pan chyba nie odmówi?

CHYL. Po prawdzie to jestem głodny, ale zarazem umieram z ciekawości co też za plany pan snuje, wiążąc z nimi moją osobę?

WIT. Proszę jeść... pomówimy... pociąg jedzie powoli. Mamy czas... (Chyl je)

MARTA. Dziękuję za wino. (oddaje Witołdowi kubek).

WIT. Na zdrowie pani. Prawdę mówiąc, to my się doskonale nadajemy na spójkę.. bo wszyscy troje — jakby to delikatnie powiedzieć — żyjemy... z naciągania ludzi...

MARTA. To nieprawda. Ja nie naciągam nikogo.

WIT. Proszę się nie gniewać, ale ten „Lekarz domowy“, albo „Piękno ciała ludzkiego“, czy to nie jest naciąganie ludzi?.. MARTA. Jestem akwizytorką i ciężko pracuję na swój chleb codzienny. Ja nie naciagam nikogo.

WIT. Znam to wydawnictwo i wydawcę znam; jest moim kolegą szkolnym. Na tych świństwach zarabia krocie... i u kogo? U głupich nieoświeconych ludzi. Bo kto to zamawia, albo raczej kogo pani namówi do wydatku ciężko zarobionego grosza? pocziwca ze wsi, czy z małego miasteczka, którego ambicję łechce pani uwagą, że jako inteligent powinien mieć tę książkę w swojej bibliotece. Jaką on ma bibliotekę? Jaki on inteligent? No powiedzcie państwo, czy nie jest to naciąganie?..

MARTA. Nie wszyscy ludzie są tacy praktyczni jak pan. Kupują książczynę, by się przyjrzeć ilustracjom i cieszą się książką w wolnych chwilach.

WIT. I płacą regularnie raty.. Zresztą nie jestem przeciwnikiem naciągaczy, sam przecież do pewnego stopnia należę do nich. Mój teren jest coprawda szczupły nawet, zamały dla takiego jak ja [genjusza. Teren ten, to moi mili dalecy i bliscy krewni, posiadający ponad 12 000 złotych rocznego dochodu.

CHYL. Ma pan ułatwione życie.

WIT. Nie jest to takie łatwe, jak się panu zdaje. Musi pan wiedzieć, że dużą rolę w tym interesie odgrywa pokora — dzisiaj mogę słusznie powiedzieć, chrześcijańska pokora — uchodzę bowiem wśród licznej rzeszy krewnych, o dochodach wyższych ponad 12.000 rocznie, — za wyrzutka społeczeństwa. Wyobraźcie sobie państwo, że ja się z ich opinją zupełnie zgadzam, a nie potrzebuję wam mówić, ile należy do tego sa.nozaparcia...

MARTA. Interes tego wymaga. Jako wyrzutek społeczeństwa przedstawia pan indywidualność nieprzyjemną dla bogobojnych bogatych krewnych.

WIT. Pani, widzę, ma głowę na karku. Otóż ta moja pokora przynosi mi jakie takie utrzymanie.

CHYL. Nie jesteś pan za stary, by jeszcze zacząć żyć inaczej i stać się pożytecznym człowiekiem. Gdybym ja mógł...

WIT. Otóż na tym punkcie różnimy się z całą plejadą ciotek, wujenek, stryjciów i prawujków... Studjowałem ongiś me-

dycynę... czułem powołanie do stanu lekarskiego. Mój nieboszczyk ojciec był sam lekarzem i tyle mi, jako dziecku, pięknych rzeczy o tym zawodzie naopowiadał, że pragnąłem jaknajprędzej wyrość na lekarza, niosącego pomoc zbolełej, zbiedzzonej ludzkości. Nie mogłem swojemu ojcu zadać kłamu, bo umarł wcześniej, nim się przekonałem, że z idealizmem lekarzy nie jest wszystko w porządku...

MARTA. Sam pan nie jesteś idealistą, a żądasz od lekarzy...

WIT. Byłem nim kiedyś, ale pewnego razu znalazłem się przypadkowo na wykładzie znanego profesora chorób wewnętrznych, który demonstrował słuchaczom jak lekarz powinien się obchodzić z chorymi. Przekonałem się wtedy, że lekarz niewiele może pomóc choremu, a tę niemoc swoją pokrywa mimiką, którejby się najlepszy aktor nie powstydział i błagą, która znamionuje znachorów.

CHYL. Są ludźmi i z ludźmi mają do czynienia, a pan chciałby od nich doczekać się cudów.

WIT. Wtedy jeszcze wierzyłem w potęgę nauki.

MARTA. I straciłeś pan wiarę w naukę, aby poszukać namiastki w lekkim życiu cynicznego krewniaka bogatych ludzi.

WIT. Wcale nie lekkie to życie... Człek musi się wysilać na corazto inne pomysły gorszenia miluśkich patryjarchów i matron. Zakładałem w kilku miastach tygodniki o szumnej nazwie „Mroki naszego Miasta“. Likwidacja tej małej prowincjonalnej prasy przyniosła mi jakąś sumkę...

MARTA. Szantażowałeś pan tych ludzi...

WIT. Tak oni tę rzecz nazywali, ja natomiast byłem przekonany, że moim obowiązkiem jest oczyszczanie atmosfery małych ośrodków z brudu....

CHYL. A przytej okazji zarobiło się coś niecoś...

WIT. Przecież muszę z czegoś żyć... Chciałem studjować prawo i zdradziłem się z tem przed moim wujem Kohnem, a ten jak nie zacznie skarżyć na ciężkie czasy dla adwokatury.. Uwierzyłem mu, jestem bowiem łatwowierny i zarzuciłem plan. Potem pomyślałem, że nadaję się na pedagoga, więc zapisałem się na filozofię, ale mój cioteczny wuj Wolkenberg, nauczyciel matematyki w gimnazjum w Krakowie, ostrzegł mnie, że jako żyd nie otrzymam posady w rządowym gimnazjum.. a prywatnych szkół nienawidzę od kiedy



- zdarzyło mi się spotkać kolegę, któremu za pół roku gaży nie wypłacono..
- MARTA. Mogłeś się pan wtedy wychrzcić. .
- WIT. Ja mówię o tych latach, kiedy byłem idealistą, kiedy byłem łatwowierny. W tym okresie niedorozwoju umysłowego chrzest dla kariery był wedle mnie hańbą i podłotą..
- CHYL. A czas ten widocznie prędko przeszedł.
- WIT. Chwała Bogu jestem wyzwolony z przesądów..
- MARTA. I straszę ludzi.
- WIT. Nie! Biorę zaliczki na poczet olbrzymich kapitałów..
- CHYL. Jakich?
- WIT. Moich własnych, które w przyszłości zarobię. (zamyśla się)
- CHYL. O czym pan myśli?
- WIT. Przyszło mi na myśl, że zamało naciągnąłem wujaszka Kohna..
- MARTA. Przedtem chwaliłeś pan wujostwo, że żegnali pana z wzruszającą gościnnością.
- WIT. Boję się, że osiągnąłem mniej, aniżeli w rzeczywistości można było... Dawali wszystko, jakby pod grozą rewolweru... Ani razu nie powiedzieli „nie“. Wiecie, ja wrócę . ten błąd musi być naprawiony..
- CHYL. Będzie pan miał jeszcze niejedną sposobność.
- WIT. Boję się, że nie.. Co można zrobić więcej, jak wychrzcić się i zamieszkać w tem samem miasteczku, w którym wujcio Kohn jest prezesem kahału i codziennie rano bogobojnie udawać się na nabożeństwo do kościoła.
- MARTA. To nie jest szlachetnie.
- WIT. Modlić się codziennie ?
- MARTA. W ten sposób utrudniać życie swojemu wujowi.
- WIT. Cóż ja jestem temu winien, że moja modlitwa utrudnia życie szlachetnemu prezesowi kahału?..
- MARTA. Pan jesteś wstrętnym cynikiem.
- WIT. Ale nie tylko moja bogobojność przeszkadzała wujowi..
- CHYL. Tylko jakiś nowy szantaż.
- WIT. Czy to, że Bóg wysłuchał mojej prośby i zesłał mi miłość córki doktora Kohna jest szantażem?..
- MARTA. Domyślam się, że Kohn nie szczędził środków, by pana wytransportować z miasteczka..
- WIT. Powiedźcie, czy będę miał kiedyś lepszą sposobność do ofundowania sobie jakiejś renty dla podtrzymania cennego

życia do czasu, aż nie zdobędę sławy, pieniędzy i wszystkich możliwych plusów na tej ziemi.

MARTA. Wujaszek Kohn nie wytrzyma tak długo, wyczerpią mu się środki..

WIT. Myli się pani. Ja nie próżnuję. Ani na chwilę nie przestaję myśleć, kombinować, studjować wszystkie możliwości najrozmaitszych przedsięwzięć... Mam kilka planów. Chcę założyć gazetę dla sług. Przy tej gazecie może się z czasem rozwinąć biuro pośrednictwa pracy dla służby domowej. Sądzicie, że to zły plan? Trzeba tylko dobrze poprowadzić odcinek powieściowy ala Mniszkówna... i powodzenie gotowe. Drugi plan — to utworzenie „biura pomysłów“... Pomyślcie.. dział malarski... poezja... muzyka. Przychodzi malarz. Ma talent, posiada tak zwaną iskrę Bożą i zna sztukę machania pędzlem, tylko mu brak wyobraźni... Pytam go wtedy: „pan życzy sztukę dla sztuki“? A więc... Ziemia. Zorana ziemia. Duży szmat ziemi bez skrawka zieleni, bez lasu, w oddali tylko niebo, czerwone od zachodzącego słońca, a w jakimś miejscu wbity krzyż — Martwa natura. Tak skomponowana jest nowem ujęciem martwoty... Albo... albo...

CHYL. Pan jesteś genialny...

WIT. Dobrze, żeś mnie pan wyrwał z artystycznego transu... Nie chcę zdradzać wszystkich swoich pomysłów...

MARTA. Ile praktyczności w tym artyzmie? (mówią po cichu)

## SCENA 6.

WIEŚNIAK. Rano człek wstaje (ziewa) i wsiada do pociągu; sam nie wie po jakiego licha jedzie do miasta.

BABA 1. Co zrobimy z tem mlekiem?

WIEŚNIAK. Zamiast zadarmo dawać przekętym mieszcuchom, masło i mleko, wolałby człek sam zjeść...

ŻYD 1. A ja wam nie mówiłem. POCO wozić towar do miasta, kiedy kupiec jest we wsi... Kupię wasz towar i sprzedam potrzebny dla waszego gospodarstwa sprzęt.

WIEŚNIAK. Minęły te czasy panie Jośku... Nauczyliśmy się obchodzić bez pośredników...

ŻYD. I wychodzicie na tem lepiej? Daj wam Boże!.. A mnie się zdaje, że nie umiecie się obliczyć...

BABA 2. Dość nażłopaliście się naszej krwi.

ŻYD 1. Poznać jaki jestem rumiany... Ej Wojciechowa! Niechby  
wasze wrogi to miały, co ja mam.

ŻYD 2. Hemoroidy.

*(W tej chwili Witold przechyla się w stronę mówiących i słyszy ostatnie słowa)*

WIEŚNIAK. Pewnie, że mniej zarabiacie, kiedyśmy karczmę ze  
wsi wygnali precz.

ŻYD 2. A ja wam powiem co innego. Pierwej była karczma  
i chłop nie był taki mądry jak wy, a mieliśmy się nieźle  
i my i wy...

ORGANISTA. Wygaduje pan głupstwa. Przed wojną dzięki  
wam byliśmy zadłużeni po uszy. A teraz od kiedy mamy  
kooperatywy, domy ludowe, własne spółdzielnie bankowe —  
odżyliśmy.

ŻYD 1. My swoje, a wy swoje... My całkiem inaczej widzimy.  
Ja nie jestem naprzykład uczony jak pan organista, ale mnie  
się zdaje, że tylko dlatego, że na wojnie i po wojnie kto  
miał na sprzedaż jadło, ten miał jak to mówią konjunkturę...  
a co do tych kooperatyw... to lepiej nie mówić... Dyrektor,  
buchalter, subjekt, to wszystko kosztuje, te wszystkie urzę-  
dniki... A kto za to płaci? Wy...

WIEŚNIAK 1. *(głośno ziewa)* Et co tu gadać... po próżnicy... Człek  
co rana wstaje i z przyzwyczajenia siada do pociągu i je-  
dzie... jedzie...

BABA 1. Żal wyleźć od baby...

WIEŚNIAK. Gdyby to... ale cholera chora... Kwęka i kwęka..

ŻYD 1. Nu a doktorzy?..

BABA 2. Ci to pomogą do śmierci... Mnie prze pod piersiami,  
że konam, no i byłam w mieście u lekarza. Myślicie, że po-  
mogło...

BABA 3. Trzeba było pójść na prześwietlenie; to jest pewna  
pomoc...

BABA 2. Mojej ciotki córka ma złamaną macicę i była na  
świecie, a lekarze to szportają i badają. Lekarze swoje, a ma-  
cica swoje...

*(Baby rozmawiają w dalszym ciągu po cichu, pokazując coraz to inne miejsca chore)*

WIT. Słyszycie państwo, ilu jest chorych na świecie? Co drugi  
chory...

MARTA. Nędza materialna zapanowała. Stąd choroby i niezado-  
wolenie...

CHYL. Wy pojęcia nie macie co się dzieje w tych ciemnych norach, w których mieszcza się nędzarze, a do których porządny człowiek nie dochodzi..

WIT. Myślałem nad tem długo, w jaki sposób możnaby pomóc chorym ludziom i nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że mój plan jest oparty na realnych podstawach..

MARTA. O jakim planie pan mówi?

WIT. Moznaby ludziom pomóc i samemu sporo zarobić.. W mojej głowie kłębią się tysiączne pomysły, których realizacja jest zależna od drobnostki... od dobrego wiatru..

MARTA. Cynizm pański stoi na przeszkodzie zrealizowaniu pańskich planów .. Nie wyobrażam sobie, abys pan mógł cośkolwiek przedsięwziąć z czystą myślą.

WIT. Taki już jestem. Trudno się zmienić! Wiecie, pomyślałem o tem, że dlatego ludzie chorują, bo niema komu ich leczyć.

CHYL. Mało jest leczących?

WIT. To prawda, że każdy zabiera się do leczenia, ale ludzie przeczają najważniejszy moment w lecznictwie, a mianowicie sympatję leczącego..

CHYL. Cóż mają uczucia wspólne z leczeniem..

MARTA. Jakieś nowe odkrycie.

WIT. Nie wiem, czy ja sam jestem odkrywcą tego nowego prawa.. Jestem przekonany, że historia tego odkrycia będzie szczegółowo badana i że ostatecznie znajdzie się ktoś, kto przedtem coś o tem napomknął.. Tak było zawsze i wszędzie. Ale cóż mnie to obchodzi..

CHYL. Więc na czem polega odkrycie?

WIT. Twierdzą moi szanowni słuchacze, że... ale proszę otwórzcie okna, bo zgęszczenie powietrza wskutek przyływu elementów nieoświeconych przybiera na sile i dusi mnie — (Chyl otwiera okno)

WIT. Poranek letni wysła przed sobą orzeźwiający wietrzyk. To forpoczyt nowej idei. (dalej po cichu)

ŻYD 1. A więc sprzedany?

CHŁOP 1. Niech będzie.

ŻYD 1. No to daj Boże szczęścia. (Ściskają dłonie)

ŻYD 2. Gdybyście chcieli za te pieniądze kupić, jest ładny kawałek karczunku. (Po cichu)

MARTA. E to takie zwyczajne naciąganie faktów.

WIT. No weźmy naprzykład miłość?! Jest to stan chorobowy ciała i duszy. Jest to pewien niedostatek, tęsknota! Naprzykład może się zdarzyć, że oto siedzący pod oknem, będący pod wpływem orzeźwiającego wietrzyku, osobnik rodzaju męskiego, niejaki pan Chyl..

CHYL. Możeby pan poszukał innego przykładu.

WIT. Nie potrzeba mi innego. Otóż wspomniany pan rozmiłuje się w kobiecie bez temperamentu, a jednak pełnej powabu, lubo nieco starszawej, naprzeciw niego siedzącej.

MARTA. Protestuję! Mam trzydzieści lat dopiero... a o mój temperament niech się pan nie troszczy.

WIT. Lata nie odgrywają zbyt wielkiej roli, w tej chorobie.. Co to znaczy? Konieczne jest wtedy ukojenie tego bólu, tej tęsknoty... Technika tego ukojenia swoista, znana zresztą każdemu, nie wymaga mojego wykładu. Główna rzecz, kto ma przynieść panu Chylowi ukojenie?

CHYL. Nie życzę sobie być tematem pańskich drwin.

WIT. Niema w panu dźbła ofiarności dla nauki, — nie umie się pan poświęcić dla nauki. Inni poczciwi ludzie zapisują ciało swoje do prosektorjum, a pan gniewa się, że jego dusza jest objektem ciekawych rozważań... No ale idźmy dalej... Otóż ukojenia szuka u pani, w której się kocha..

MARTA. A może mu się zdaje..

WIT. O tem można się przekonać dopiero po leczeniu.. Tak, ukojenia nie może mu dać ani w tym wagonie jadąca kobieta z ludu, ani w wagonie II kl., kobieta w jedwabnym dessous, o duszy subtelnej i wargach uszmkowanych doskonałą kredką... Zachodzi pytanie, dlaczego pan Chyl zakochał się w pani... w... pani..

CHYL. Marcie!

WIT. W pani Marcie. Mógł przecież zachorować na tęsknotę za inną kobietą... I tu jest najważniejszy punkt mojego odkrycia... bo w tej wspomnianej Marcie są elementy, które dokonaje uzupełniają brak tychże elementów u niejakiemu Chyla. Jakże stąd wypływają konkluzje..

MARTA. Kto o tem już nie mówił?..

WIT. W przyszłej historii mojej teorii.. proszę o tem poczynić wzmiankę... A inna choroba umiejscowiona bardziej widocznie, czyż nie pożąda ukojenia.. leczenia..

CHYL. Od tego są lekarstwa..



WIT. Lekarstwa to nie wszystko. Tak samo ważne jest kto podaje lek..., kto maść wsmarowuje... W miłości nie każdy może smarować.. to znaczy dać ukojenie. Z tem jest tak samo, jak z tą miłością... Nie każdy posiada te elementy, którymi powinien uzupełnić brak elementów u osobnika chorego...

CHYL. Należałoby w takim razie wynaleźć instrument do badania jakości tych elementów.

WIT. Teraz już się rozumiemy... I tak wygraliśmy los... A co nie wygraliśmy ?

MARTA. Oszalał człowiek.

WIT. Wygraliśmy los...

CHYL. Narazie niema takiego instrumentu...

WIT. Właśnie że jest, bo ja go wynalazłem.

MARTA. Pan ?!

WIT. Czy nie jestem podobny do wynalazcy? Mam bujny włos, głęboko osadzone oczy, myślące, czoło wypukłe ..

MARTA. Jest pan zanadto praktyczny...

WIT. To jest teraz modne. .

CHYL. Na czym polega pański wynalazek?

WIT. To nie jest najważniejsze. Główna rzecz, że pan odegra w tem wielkiem dziele doniosłą rolę, może najważniejszą. I pani także...

MARTA. Mnie pan nie szukałeś.

WIT. Ale przypadek mi panią zesłał. Przypadek wielka rzecz.. i ja chętnie korzystam.

MARTA. Umieram z ciekawości.

WIT. A więc spótkna na całe życie?..

CHYL. Jeszcze nie wiem o co idzie.

WIT. O wszystko... o całe nasze życie, o naszą przyszłość, o dobro ludzkości...

MARTA. Aż tyle?..

WIT. ...otóż pan podpisze swoim nazwiskiem tę pracę...  
(wyjmuje rękopis)

CHYL. (Czyta napis) „Krew, jako czynnik rozpoznawczy przynależności rasowej“ Co... co... a to co nowego?..

WIT. Wie pan co to jest krew?

CHYL. Coś niecoś.

WIT. I ja coś trochę liznałem z fizjologii profesora Becka, ale to wystarczyło, abyśmy napisali wiekopomną rzecz... o krwi...

MARTA. Nie sądzę, by to wystarczyło.

WIT. A intuicja od czego? Intuicja jest ważniejszą od szpe-  
rania w księgach i laboratorjach.

CHYL. Ale co ma wspólnego praca pańska...

WIT. Nie moja, tylko Chyla... Tu trzeba się przyzwyczaić.

MARTA. Przecież to nieprawda.

WIT. Na początku będzie kłamstwo.. Tylko to jedno kłamstwo..

CHYL. Więc jaki stosunek między pracą, którą ja podpisuję,  
a leczeniem chorych?

WIT. (Cytuje) W ciągu długich żmudnych badań udało się nie-  
jakiemu Chylowi, męczennikowi nauki, wykazać, że  
w lecznictwie doniosłą rolę odgrywa przynależność rasowa  
chorego i leczącego. W 678 wypadkach okazało się, że sku-  
teczne leczenie było możliwe tylko przez umiejętnie zasto-  
sowanie pewnych właściwości rasowych danych osobników  
zdrowych, we formie korzystania z ich czysto technicznej po-  
mocy przy pielęgnowaniu chorych.

CHYL. Pewnych właściwości rasowych?

WIT. Tak jest. I to rzecz ciekawa. Okazało się, że członkowie  
innych ras wzajemnie się doskonale uzupełniają, niosąc  
sobie wzajemną pomoc.

MARTA. I od tego zależną jest skuteczność leczenia...

WIT. Nietylko leczenia, ale i leków. Zresztą zaczekajcie. Za-  
demonstrujemy wam na przykładzie nową wielką teorię...  
(Podchodzi do drugiego przedziału)

MARTA. Oszust, czy warjat?

CHYL. A ja nabrałem przekonania do niego. (Przegląda rękopis)

WIT. A skąd państwo pochodzicie, jeśli wolno wiedzieć? (Milczenie)

WIEŚNIAK. A no ze wsi...

WIT. Poznają, żeście wsiowy człek. I do kościoła w niedzielę  
chodzicie.

ŻYD 1. A po mnie pan poznał, że w sobotę chodzę do bo-  
żnicy... Pan się zna na ludziach...

WIT. (do wieśniaka) Wiem nawet co brakuje waszej babie...

WIEŚNIAK. A kto ją tam wi... Była u doktorów i nic... przy-  
jeżdżała do niej baba i nic, a panby się na niej poznał... ?

WIT. (zwraca się do Chyla) Moglibyśmy ją uzdrowić, panie profesorze.

CHYL. (niepewnie) Naturalnie.

WIT. Bo widzi pan, ciśnienie osmotyczne przechodzi powoli  
w symbiozę.

BABA. (do sąsiadki) bioze... słyszeliście?

WIT. I cosinus alfa plus cotangens beta dają osobny ką  
zwarty, przymóźdzka z tibia.

ORGANISTA. (do Żyda) To są bardzo mądre słowa. Jakiś  
wielki doktor.

WIT. No i co? Przypędźcie swoją babę do nas... za miesiąc...  
do .. Gdzie będziemy za miesiąc?

(W tym momencie wchodzi większa ilość bab, wiejskich dziewcząt z mle-  
kiem i z tłumoczkami, oraz chłopci, kilku inteligentów, wędrowny cymbalista.)

MARTA. Co on wygaduje?

WIT. Hotel Warszawski... Przyjdźcie, wyleczymy ją bezpłatnie..  
Ten tam koło okna siedzący jest wielkim profesorem. On  
wynałazł nadzwyczajny system.

ŻYD. Pan leczy wszystkie choroby?

WIT. Ma się rozumieć...

ŻYD 1. Panowie są doktorami?

WIT. Jeszcze więcej... A co porabiają pańskie hemoroidy?

ŻYD 2. Jak pan wie?

WIT. To poznać po nosie.

ŻYD 1. Oj panie doktor, co ja mam z nimi zrobić?

WIT. Czy pan się leczył?

ŻYD 1. Niema już takiego lekarza w naszym miasteczku, u któ-  
rego ja się nie leczyłem... Ja mam tu jakąś maść... ale ona  
mnie nic nie pomaga... Nic a nic. A to mnie piecze i śwędzi.

ŻYD 2. Niech pan się popatrzy ..

WIT. Na hemoroidy?

ŻYD 1. Nie, na maść. (daje Witoldowi maść)

WIT. (Ogląda maść) A to głupota! (Podchodzi do Chyla) Ma pan  
dowód, że nasza teorja jest wspańska.

CHYL. (patrzy nie wiedząc co ma odpowiedzieć)

MARTA. Która teorja?

WIT. Teorja o leczeniu indywidualnem.

BABA. A widzicie, leczenie musi być dualne...

ORGANISTA. Inwidualne...

WIT. (wskazuje na organistę) Poznać wykształconego człowieka...  
Za miesiąc będę we Lwowie w Hotelu Warszawskim. Portjer  
wskaze... Proszę zapisać sobie adres. (Żydzi zapisują sobie  
adres i organista)

ŻYD 2. Co to znaczy leczenie indualne, panie naczelniku?

WIT. Za chwilę pan się dowie. Pan jesteś żydem?



**ŻYD 2.** Ja myślę

**WIT.** A ta maść jest właśnie przystosowaną dla chrześcijanina i to dla protestanta. (Wszyscy patrzą zdziwieni) Tak jest, to jest maść protestancka. Mam rację panie profesorze?

**CHYL.** Zupełnie... Nie można protestancką maścią smarować żydowskich hemoroidów.

**WIT.** (cicho) Brawo panie profesorze. Pan zdałeś u mnie egzamin... Co ja mówię? Ja zdałem u pana egzamin.

**CHYL.** (coraz pewniejszy) Nic nie szkodzi, chłopcze... Rozumiecie państwo: przedewszystkiem należy badać krew, czy ona jest czysta, czy zmieszana. Bo może być mieszana np. żydowsko-niemiecka, albo polsko-ruska; wtedy trzeba obliczyć jaki procent jest jednych elementów i drugich i dopiero wtedy można lekarstwo odpowiednio przygotować...

**WIT.** A potem musi się znaleźć człowieka, któryby miał odwrotny stosunek elementów krwi i aby ten tego chorego pielęgnował.

**ŻYD 2.** Co to znaczy odwrotny stosunek?

**WIT.** To znaczy, że pan by musiał nacierać babę, niby żonę tego gospodarza, a gospodarz pańskie hemoroidy.

**CHYL.** Leczenie tak zwane kontrastowe.

**ORGANISTA.** Bardzo ciekawe.

**ŻYD 2.** Panie organista, co pan mówi do tego? (Organista po cichu tłumaczy zebranym ludziom, przyczem posługuje się swoistą mimiką.)

**WIT.** (wraca do Chyla); Doskonale pan się spisał, a skąd u licha pan się dowiedziałeś o tych elementach?

**CHYL.** Rzuciłem okiem na tę pracę, którą mi dałeś, mój asystencie.

**WIT.** A więc gra się zaczyna.

**CHYL.** Podoba mi się to wszystko... Może uda się nam wywindować na powierzchnię przy pomocy naszej teorii.

**WIT.** Daj Boże. A pani z nami.

**MARTA.** Ciekawa jestem jak to się skończy.

**WIT.** Z tem wszystkim łączy się jeszcze jedno wielkie przedsięwzięcie: „Instytut badania krwi na czystość rasy“.

**CHYL.** Przy pomocy pańskiego systemu.

**WIT.** Czy wy wiecie co to jest rasa? My tak sobie siedzimy, pociąg nas wiezie w kierunku, który nas nawet nie zaciekawia, a tymczasem w powietrzu, na ziemi i w wodzie drga bosko naprężona, przez kogoś szarpnięta fala... To teoria ras.. Rasa

wyższa... rasa niższa... czystość rasy... oto pojęcia ciągle powtarzane... w dziennikach, w dziełach naukowych, w sądzie i w urzędzie podatkowym. A w tych pojęciach mieści się olbrzymia skala człowieczeństwa... Szczęście, przyszłość światłana, wybraństwa narodów, idea mesjanistyczna. Co tu dużo gadać. My będziemy z rozbioru krwi badali rasę. Już nawet pomyślałem gdzie umiejscowić tę charakterystyczną niewiadomą w składzie krwi... a mianowicie w tej części, której dotychczas nie zbadano.

CHYL. W pyłkach krwi?. Haematokoniach?

WIT. Właśnie. Ja wynalazłem w nich mgiełki, których kształt u każdej rasy jest inny. U Żydów naprzykład są te mgiełki w formie ściętych stożków, u Aryjczyków są bardziej ostre, a u Mongołów zaokrąglone. Bardzo ciekawe studia.

MARTA. Jak pan to udowodni?

WIT. Nie trzeba dowodów. Wyodrębniłem mgiełki z pyłków krwi.

MARTA. Ale musi pan mieć dowody.

WIT. Niech mi ktoś udowodni, że nie ma mgiełek. Po co ja mam się trudzić? Niech się trapią inni..

MARTA. To się panu nie uda.

WIT. Czy pani widziała kiedyś witaminy? One są, ale ich nikt nie widział. Są witaminy a b c d e f g h i j k l i t. d. i są mgiełki rasowe doktora Chyla.

CHYL. Pan jesteś genialny...

WIT. Nie lubię komplementów... Dla mnie najważniejsze, że puścimy na scenę nowy twór...

MARTA. Pan lekko bierze najpoważniejsze kwestje życiowe... (W tej chwili pojedynczo przychodzą do Chyla baby i chłopcy... pokazują swoje zbolale miejsca, bez żenady obnażając możliwe i niemożliwe części ciała... Konduktor sprawdza bilety. Cymbalista w międzyczasie gra popularną melodię tanga, a po ukończeniu sięga po jałmużnę).

CHYL. Moi drodzy, chciałbym wam wszystkim pomóc, ale nie tu miejsce... Narazie patrzę na waszą biedę.. Wierzę jednak, że przy pomocy boskiej uda mi się przynieść wam pomoc i całej ludzkości. (Baby całują go w rękę.. Stońce wysoko weszło, a promienie słoneczne oświetlają grupę ludzi, asystujących narodzeniu się nowej idei. Lekki wietrzyk wieje z pola, owiewając tchnieniem artystów i publiczność...)

MARTA. Jaki pan zmieniony.

WIT. (wzruszony) Pani Marto..! Sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Cymbalista gra „Radetzky Marsch“.

## AKT II.

Scena przedzielona cienką ścianką na dwa pokoje,  
które stanowią poczekalnię i kancelarię dra Chyla.

### SCENA 1.

W poczekalni: Chyl, Witołd.

WITOŁD. (pisze coś przy biurczku, gwiżdżąc popularną melodję.)

CHYL (przechodzi przez poczekalnię i przemawia oschłym głosem krótko)

Dzień dobry, Wit!

WIT. Uszanowanie panu doktorowi.

CHYL. Pracujesz...

WIT. Księgi rachunkowe zabierają mi wiele czasu. Ale co robić?. Buchaltera nam nie wolno przyjąć...

CHYL. Dlaczego?

WIT. Nasz interes nie znosi wglądu obcego człowieka...

CHYL. Ach tak. Spodziewam się, że wkrótce nasze kłamstwo stanie się prawdą. Tylko mnie nie męczcie więcej. Nie mam sił do tych wszystkich spraw.

WIT. Załatwiam osobiście, o ile mogę, wszystko.

CHYL. Nie mam chwili czasu. Ciągłe jestem zajęty, chwili czasu nie mam, dla siebie nie mam chwili wolnej.

WIT. Pan doktor pracuje nad swoją teorią i jej praktycznym zastosowaniem.

CHYL. Jestem już bliski celu, oby tylko jak najprędzej. Wit! Ja tak dalej mimo wszystko nie mogę żyć.

WIT. Co się stało? Przecież wszystko jest w porządku. Dobiega drugi rok naszej współpracy. Ostatnio udało się nam przeprowadzić korzystną rewizję wyroku. Jesteś pan znowu doktorem. Masz pan rodzinę przy sobie. Pracujesz naukowo. Masz uznanie. Dzisiaj otrzymaliśmy z Niemiec propozycję zba-

dania rasowości 600 kobiet, przeznaczonych do urodzenia 3000 Germańców czystej krwi.

CHYL. Nie rozumiesz mnie, Wit. Jest mi ciasno.. Zdaje mi się, że ciągle biję łbem o rzecz i ludzi..

WIT. Ja nie rozumiem.

CHYL. Ty tego nie rozumiesz I Marta gdzieś się odsunęła.. Jestem sam..

WIT. Jest ciągle na rozjazdach. Pracuje w przydzielonym dziale.

CHYL. Czy wróciła?

WIT. Telefonowała z miasta, że za chwilę będzie tutaj u nas.

CHYL. (zamyślony) U nas.. (budzi się) Chcę z nią pomówić.

WIT. Zawiadomię ją o tem, panie doktorze.

CHYL. No to dobrze. (wchodzi do swojej kancelarii, siada przy biurku, pisze od czasu do czasu zaglądając do książek naukowych..)

## SCENA 2.

(Wchodzi Marta.)

WIT. Witam panią

MARTA. Dzień dobry. (siada) Jestem zmęczona. (podaje papiery) Trudne miałam zadanie do spełnienia. Osikowskich jest czternastu w tym powiecie, z tych czterech Aleksandrów, z tych zaś Aleksandrów jeden żyd..

WIT. Ale informacje zebrane?

MARTA. Rozumie się.. Tylko z jaką trudnością. Przytem zarobiłam, bo sprzedawałam kilkanaście egzemplarzy dzieła naukowego „Krew jako czynnik rozpoznawczy rasy“, napisanego przez dra Chyla.. Śmiać mi się chce kiedy pomyszę, jak ci poczciwi lekarze na prowincji nie umieją odmówić kupna tej książki..

WIT. Nasza teoria nabrała rozgłosu. Niema co mówić.. Każdy lekarz musi coś o tem wiedzieć. Tak samo było z teorią Einsteina. Nie wiem czy pani sobie przypomina? Nie było studenciny, podlotka, któryby nie kupił popularnego dziełka, traktującego o tej sprawie.. Ani popularyzator, ani czytelnik pojęcia o tem nie mieli, co to jest teoria Einsteina..

MARTA. Pamiętam doskonale. Mój wydawca zarobił na tej publikacji duży pieniądz..

WIT. I na naszej książce zarobi... Pisał w tej sprawie... Chce wydać drugi nakład.

MARTA. A jakie stawiał trudności przy wydawaniu pierwszego nakładu! (ziewa) Jestem śpiąca.

WIT. Niechże się pani prędko wyśpi. Mam tutaj kilka nowych adresów... Trzeba dokładnie zbadać pochodzenie i charakter tych ludzi...

MARTA (czyta podany świstek) Same figury znane w kraju... Do djabła—rozsiani na czterech krańcach państwa. Hrabia Mongolski, zamieszkały w Wilnie; dyrektor Banku Dr. Przyłipski w Katowicach... Co.. co... a ten czego chce, książd Mikołajczyk...

WIT. Tej krwi nie zbadamy; boję się ryzykować.

MARTA. Jakie ryzyko?

WIT. Badamy krew, ściaganą tu u nas na miejscu... A przysławnej nie badamy.

MARTA. Dlaczego?

WIT. Mógłby ktoś postać krew kota, czy psa dla wypróbowania u nas... Można oczywiście odróżnić ludzką krew od zwierzęcej, ale szkoda na to czasu... Chyl nie chce się tem trudzić. Pracuje wiele...

MARTA. Ach Boże! Ciekawa jestem, czy mu się uda naprawdę znaleźć sposób wyodrębnienia ras, przez analizę krwi...

WIT. Coś mu się tam, zdaje się, udało. Wyodrębnił przy pomocy przez siebie skonstruowanego barwika, mgiełki.

MARTA. Przecież pan o tych mgiełkach pisał...

WIT. Nie ja pisałem, tylko nasz szef, doktor Chyl.

MARTA. Bądźmy szczerzy między sobą... To dzieło i hipoteza są pańską własnością...

WIT. Nie, Marto, nie bądźmy szczerymi... Nasza wspólna sprawa wymaga, abyśmy uwierzyli, że pan doktor Chyl jest twórcą teorii...

MARTA. Z panem naprawdę trudno się dogadać... Zatracił się pan w tem kłamstwie, że go nie widać...

WIT. Naprawdę wierzę w to co mówię. Szkoda, że mnie pani nie rozumie. Nasza teoria żyje. Rozwija się, rodzi nowe pochodne teorie...

MARTA. Przecież to wszystko kłamstwo.

WIT. Być może, że ona zginie... Umrze śmiercią naturalną... Nie przeczę. Obecnie ona się przyjęła... Jak było w średnio-

wieczu z teorią o czarownicach? Jak było z astronomią starożytną? Wszystkie te teorie, jak dzisiaj stwierdzamy, polegały na kłamstwie... na błędzie... ale wtedy one pozwalały ludziom spać spokojnie i wstawać rano do pracy i przyjemności.

MARTA. Jakże ja mam wierzyć, kiedy osobiście współdziałałam w szachrowaniu bliźnich. Jestem już tem wszystkim zmęczona... Ciągłe jazdy, ciągłe uganiecie się za datami, dotyczącymi pana X, pani Y... wynajdywanie tych waszych nieistniejących „mgiełek“. Jak gończy pies z wywalonym językiem przelatuje przez cały kraj.

WIT. Dzięki pani panujemy nad sytuacją, a nasza ekspertyza wypada precyzyjnie. Niema pani pojęcia, jakie ważne spełniamy zadanie. Dzisiaj, kiedy przynależność rasowa rozstrzyga o wszystkim, kiedy narody starają się oczyścić z obcych elementów, kiedy udowodniono, że duchowe wartości, tężyzna narodu, zależna jest tylko od czystości krwi członków narodu, to my, wyodrębniając ziarno od plewy, spełniamy doniosłą rolę...

MARTA. O tem nie jesteśmy przekonani, ani Chyl, ani ja...

WIT. Bo to nie wasza rola..:

MARTA. Jak to?..

WIT. W tej całej sprawie zbiegiem okoliczności... przypadku... lepiej przypadku... nastąpił rozdział ról... Chyl... pan doktor Chyl jest twórcą teorii... on dalej nad uprawdopodobnieniem hipotezy pracuje... on jest reprezentantem... jej symbolem, on jest samą teorią... On niema co wierzyć, albo nie wierzyć... Pani ma swoją doniosłą rolę szukania „mgiełek“, a moje zadanie wierzyć za siebie, za doktora Chyla i za panią...

MARTA. I badać krew przy pomocy ruletki. Właściwie mój wywiad jest zupełnie zbędny...

WIT. Boże mój, jak pani źle rozumuje! Cóż z tego, że wynik ekspertyzy jest zależny od ruletki, specjalnie przezemnie skonstruowanej? Ruletka to przypadek...

MARTA. Więc ekspertyza krwi zależną je t od przypadku?

WIT. A urodzenie się Arabem, czy Murzynem, Niemcem, Polakiem, czy nawet Żydem, — czy to nie jest przypadek?

MARTA. A jak tam pańska ruletka, z cudownie skonstruowaną podziałką wskaże, że przypuścimy księżę Mongolski, a raczej

jego krew, zawiera  $37\frac{1}{3}\%$  elementów „S“ a więc semickich... a mój wywiad brzmi, że ksiązę Mongolski, jak nazwisko wskazuje, pochodzi z Tatarów.

WIT. Ruletka jest nieomylną. Przypadek jest nieomylny... Dlaczego kulka padła na „S“  $37\frac{1}{3}$  a nie na „M“ 100%? Wido-  
cznie, że we krwi jest  $37\frac{1}{3}\%$  elementów „S“ i na to niema rady... Badanie mojej krwi wykazało 100% elementów aryjskich.

MARTA. I to jest w porządku...?

WIT. Naturalnie.. Ja wierzę.. ja wierzę w ekspertyzę ruletki.. Czy pani zna potęgę wiary. „Wierzę“ ten moment jest konieczny w teorii Darwina, w teorii Kanta Laplace'a, a nawet w matematyce jest wiara aktualna. Ja wierzę! Marto! I ekspertyza jest precyzyjną... Korzystamy z pani wywiadu... To jest inna sprawa. Jakby to powiedzieć? Handlowa. Interes wymaga, abyśmy o naszych klientach wiedzieli coś bliższego z ich życia... może nawet słusznie nazwanego ich życia nierealnego... Realna jest tylko krew, a wszystko inne to zabłąkanie się indywiduów...

MARTA. Pan w to wszystko wierzy...

WIT. Wierzę.

MARTA. A ja nie. I drugi też nie.

WIT. Ale trzeci, czwarty, setny, tysięczny wierzy. Dlaczego naj-  
poważniejsi ludzie uwierzyli.. To samo jest potwierdzeniem słuszności naszej teorii.

MARTA. Masowa psychoza...

WIT. Nie wiem i nie chcę wiedzieć.. Proszę tylko przeczytać dzien-  
niki. Prokurator oskarżając zbrodniarza, powołuje się na teorię dra Chyla; adwokat broniąc klienta tę teorię bierze za pod-  
stawę swej obrony; profesorowie uniwersytetów, teoretycy,  
politycy... oni uwierzyli...

MARTA. Powiał dobry wiatr...

WIT. Pani ma rację... Nie spodziewaliśmy się, że w nocy w le-  
niwo czołgającym się pociągu mieszanym, narodzi się nowa  
idea.. Tak, powiał dobry wiatr.. Przypadek i dobry wiatr...  
Tak samo przypadek zrządził, że pani kocha tylko Chyla...  
doktora Chyla, a nie mnie.. (Milczenie)

MARTA. Aleksander strasznie się zmienił.. w ostatnich czasach...

WIT. Kto?

MARTA. Aleks...

WIT. Zakazuję tu w interesie, nazywać pana doktora Chyla, Aleksandrem... Tu jest laboratorium, tu jest zakład naukowy, a nie buduar...

MARTA. (śmieje się)

WIT. Czego się pani śmieje?

MARTA. Pan zapomina, że jestem także i... kobietą...

WIT. Całuję rączki pani majorowej.. łaskawej pani dobrodziejki..

MARTA (śmieje się, podaje mu rękę do pocałowania) A tak... należy. nie zapominać... nie teorią... ale rzeczywistą kobietą...

Wit. (zły) Czasami miewam wrażenie, że pani jest kobietą... wtedy chciałbym panią całować, panią objąć tak silnie, aby kości trzeszczały. Bo ja, proszę pani, bo ja, Marto, wtedy miewam wrażenie, że... jestem mężczyzną...

MARTA (śmieje się) Czy to są oświadczenia miłosne?

WIT. A czy ja wiem co to jest? Nie umiem tego zbadać. Umieć co najwyżej badać krew przy pomocy ruletki... Staję się melancholijnym... Daj wam Boże! Kochajcie się z doktorem Chylem...

MARTA. Zmienił się, od kiedy pogodził się z swoją żoną.

WIT. Coś mu dolega. Mówił coś dzisiaj do mnie, ale go nie rozumiałem. Żona jego patrzy na mnie, jak na wilka. Co mnie to obchodzi...

MARTA. Pan ma swoją ideję...

WIT. Aby pani wiedziała... I jest mi z nią dobrze.

MARTA. Przed chwilą mówił mi pan o jakimś uczuciu... był pan melancholijny...

WIT. Pani by pewnie chciała, abym kochając Martę bez wzajemności — sechł i blady, głodny po lasach wędrował i cienia pani Marty szukał. A pani tymczasem z doktorem Chylem?..

MARTA. Ależ wcale tego nie chcę...

WIT. A ja tymczasem się kąpię... Zna pani uczucie człowieka zanurzonego po szyję w ciepłej wodzie? Ja doznaję takiego samego uczucia... w pracy, w swojej... w naszej idei...

MARTA. Mnie praca nie wystarcza... Chcę być szczęśliwą i kochaną... Praca moja jest środkiem do celu... Mnie obchodzi Chyl.

WIT. Jaki pani ma cel? Chyl pogodził się z żoną, a pani co ma z tego? Stoimy na boku.



- MARTA.** Sama chciałam tego, by ją przyjął do domu. Nie obawiam się utraty Aleksandra...
- WIT.** Aleksandra... Aleksandra... A ja pani mówię... już jego żona go pilnuje...
- MARTA.** Poznaliśmy się z nim, kiedy on był wyrzutkiem społeczeństwa... zbiedzony, samotny. Był wtedy nieporadny jak dziecko... Wtedy mnie potrzebował. Był samotny. Czułam, że mu jestem potrzebną i wtedy go kochałam.
- WIT.** Bo i pani nie umie być samą.
- MARTA.** Nie to... Całkiem coś innego. Był bezradny iak małe dziecko i potrzebował mnie... Czy jest w tem coś dziwnego, że go pokochałam?
- WIT.** A męża swojego przestała pani kochać, kiedy się stał bezradnym.
- MARTA.** Mój były mąż ani na chwilę nie stracił przeświadczenia swojej wyższości... Przestał zarabiać, została mu zresztą emerytura. Jego pewność i buta odpychały mnie od niego od pierwszej chwili małżeństwa... Pozatem upijał się w tym stanie i bywał gwałtowny. Musieliśmy się rozstać. Wychowałam siebie do samotnego życia.. W ciągu kilku lat mojego małżeństwa przypatrywałam się życiu i nauczyłam się... wiele...
- WIT.** Dziwne..., Mówi pani, że raziła ją pewność jej męża. Przecież to jasne jest, że mąż jest pewny siebie... To jego prawo...
- MARTA.** Prawo... prawo... Pewnie że miał prawo, ale nie powinno się tego dawać odczuwać kobiecie. Przynajmniej ja tego nie zniosłam i rozeszliśmy się.
- WIT.** I spotkała pani Chyłą. Widzę jednak, że i ta zmiana nie wyszła na lepsze. A może ja, samotny, bezradny nieboraczek, znajduję łaskę w pani oczach?.
- MARTA.** Pan zaczyna być złośliwym... Zresztą pan ma swoją ideję... Jestem zła na pana... Trudno z panem mówić poważnie; niewiedomo kiedy pan mówi poważnie, a kiedy żartuje.
- WIT.** Ze spiżu nie jestem. Pani wolałaby człowieka z jednej bryły, choćby to miało być wielkie dziecko.
- MARTA.** Lubię dzieci. Żałuję, że nie mam własnego dziecka... Miałoby się cel w życiu.
- WIT.** E.. e.. e.. także cel urodzić dziecko w dobre badania<sup>a</sup>

krwi, na najrozmaitsze numerusclaususy. Ach, pardon... zapomniałem, że pani jest także chrześcijanką i że ja już nim jestem chwała Bogu. Ale wszystko jedno i nam katolikom też nie lekko przychodzi życie, więc po jakiego licha płodzić dzieci.

MARTA. Aby mieć co kochać... z całej duszy ukochać i troszczyć się bezinteresownie.

### SCENA 3.

SŁUŻĄCA. (do Marty) Pani doktorowa prosi panią do siebie.

MARTA. (jakby się domyśliła) Aha. Proszę powiedzieć, że przyjdę za chwilę.

WIT. Czego ona chce? Doktor Chyl chce się z panią widzieć...

MARTA. Będzie musiał się pofatygować do mnie daleko...

WIT. Co to ma znaczyć? Szef rozkazuje.

MARTA. Idę do pani szefowej po rozkazy. Do widzenia, panie Witoldzie.

WIT. Co to za Wersal... (zły) Do widzenia (Coś zapisuje)

### SCENA 4.

Dzwonek.

WITOŁD. (Otwiera drzwi. Wchodzi Księżę Skałacki)

Ks. SK. Dzień dobry panu. Chciałem pomówić z panem profesorem Chylem (podaje wizytówkę)

WITOŁD. Sługa najniższy księcia prezesa... Jestem sekretarzem doktora Chyla.

Ks. SK. Dzień dobry panu...

WIT. Księżę prezes pozwoli, że zapiszę go w księdze i poproszę o pewne daty..

Ks. SK. Pragnę pomówić z panem doktorem Chylem. Bo to, jakby to powiedzieć, sprawa narodowa... No tak. Narodowa...

WIT. Jak sprawa narodowa... zaanonsuję Księcia prezesa...

### SCENA 5.

WIT. (wchodzi do kancelarii) Księżę Skałacki w sprawie narodowej.

CHYL. Czego on chce? Załatw to sam.

WIT. Wyraził życzenie... rozmawiania z panem doktorem.

CHYL. Proś.

## SCENA 6.

WIT. (wychodzi do przedpokoju) Proszę Księcia. Pan doktor prosi.

## SCENA 7.

Ks. SK. (wchodzi do kanc.) Dzień dobry panu profesorowi.

CHYL. Uszanowanie... Księżu prezesowi... Czem mogę służyć?

Ks. SK. Bo to, wie szanowny pan profesor... że nasza partja...

A czy szanowny profesor należy do naszej partji?

CHYL. Nie miałem jeszcze czasu rozejrzeć się.

Ks. SK. A to szkoda... Prawe centrum... wpływy... wielkie wpływy...

CHYL. Czy mam złożyć jakąś kwotę na cele partyjne?.. Proszę, nie ociągam się.

Ks. SK. Nie, nie... Broń Boże! My do pana profesora w delikatnej sprawie... bardzo delikatnej...

CHYL. Proszę, słucham uprzejmie.

Ks. SK. Widzi pan, jestem prezesem partji... „prawe centrum“... duża partja... wpływy... wpływy...

CHYL. Czem mogę służyć?

Ks. SK. Musimy przy pomocy wielce szanownego profesora.. urządzić taką czystkę w naszej partji...

CHYL. Nie rozumiem.

Ks. SK. Zaraz to wytłumaczę kochanemu... (rozmawiają po cichu)

## SCENA 8.

Do poczekalni wchodzi prezes socjalistycznej partji CHUDERLAWY,

CHUDERLAWY. Cześć! Jestem Chuderlawy, sekretarz socjalistycznej partji.

WIT. Uszanowanie. Czem mogę służyć?

CHUD. Mogę z panem sprawę załatwić?

WIT. Jestem sekretarzem i współpracownikiem doktora Chyla.

CHUD. (patrzy na Wita.) Swój człek... (klepie po ramieniu) co?

WIT. No... tak...

CHUD. Ano to dobrze... swój człek to dobrze...

WIT. Czem mogę służyć?

CHUD. Nie służyć... przyjacielu... Nie służyć, tylko pomóc...

WIT. Chętnie, panie prezesie.

CHUD. Nie „panie prezesie“... tylko towarzyszu sekretarzu. No dobrze?

WIT. Towarzyszu sekretarzu. .

CHUD. Sprawa jasna... Partja socjalistyczna jest partją międzynarodową... Wielkie stoją przed nią zadania do spełnienia. Walka z wyzyskiem proletariatu. Jutro jest nasz! Przyszłość należy do nas!..

WIT. Rozumiem...

CHUD. (Klepie go po ramieniu) Nasz chłop, co?.. Tymczasem do naszego klubu parlamentarnego wkradły się jednostki, nie międzynarodowe, tylko narodowe... Rozumiecie? Egoizm narodowy? Sam prezes jest wątpliwy...

WIT. Rozumiem...

CHUD. Towarzyszu... my się rozumiemy. Tak dalej nie może być. Postanowiliśmy urządzić czystkę.. Członek socjalistycznego klubu parlamentarnego musi mieć w krwi w różnej części kilka rozmaitych składników.

WIT. Elementów.

CHUD. Niech będzie międzynarodowych elementów, a przynajmniej ze trzy... takie elementy...

WIT. Więc wszyscy posłowie dadzą krew do zbadania, a my zestawimy taką tabelkę...

CHUD. Ale, towarzyszu... najmniej trzy...

WIT. Polską... niemiecką... żydowską, albo żydowsko-francuską... albo sowiecko-faszystowsko-żydowską...

CHUD. Za dużo żydowskiego nie dawajcie... Wiecie towarzyszu... nasz prezes jest niepewny. Jego krew niema trzech elementów. Może dwa i to nie wiem... Z jego sposobu mówienia i pisania to wynika niezbitcie; konieczną jest tylko ekspertyza krwi.

WIT. Sądzi pan, że ze sposobu pisania można także poznać przynależność narodową? A więc... z samego tematu...

CHUD. Ależ nie z tematu, tylko jak to doskonale krytyka literacka mówi; z samego podejścia do tematu.

WIT. Aha... podejścia... Rozumiem teraz...

CHUD. Dzisiaj z twórców ducha można rozeznaczyć rasę narodowości, nawet przynależność klasową... „Kapitał“ napisał Marks i nikt inny go nie mógł napisać; to poznać z dzieła. To poznać, niema co mówić... to poznać i basta.

(mówią po cichu)

## SCENA 9.

CHYL. Bardzo chętnie, Książę preziesie... Mój sekretarz tę sprawę doskonale zreferuje.

Ks. SK. A co do kosztów... kasa partyjna ma fundusze... wpływa partja, wpływowa, kochany profesorku...

CHYL. To wszystko załatwi mój sekretarz.

Ks. Sk. Żegnam drogiego profesora.

CHYL. Kłaniam się uniżenie.

## SCENA 10.

Ks. SK. (wchodzi do poczekalni, trafia na rozmowę Chuderlawego z Witoldem. Obydwaj mierzą się podejrzliwie oczyma.)

Ks. SK. (do Wit.) Pan doktor Chyl skierował mnie do pana.

WIT. A — w sprawie narodowej — w tej chwili służę...

Ks. SK. Ja czekam.

WIT. Proszę bardzo spocząć. (do Chud.) A więc z kasy partyjnej... zrobimy jak się należy...

CHUD. Może ja poczekam, aż Książę pan zechce łaskawie załatwić...

Ks. SK. Dziękuję panu. ja zaczekam...

CHUD. Ja zaczekam...

Ks. SK. Nie, dziękuję, zaczekam...

CHUD. My socjaliści jesteśmy także uprzejmi...

Ks. SK. Ani przez chwilę nie wątpię, proszę, proszę... onegdaj głosowaliśmy wspólnie.

WIT. Widzę, że panowie się krepują... U nas niema potrzeby ukrywania celu wizyty, bo... my tylko krew badamy... i leczymy chorych.

CHUD. Ale skądże ukrywać... co znowu, my się nie rozumiemy towarzyszu...

Ks. SK. Przecież to naturalne, że się nie krepujemy. Mnie idzie o zbadanie krwi na czystość rasy, to znaczy krwi członków naszego klubu parlamentarnego...

WIT. To się doskonale składa, bo towarzysz Chuderlawy zamierza wyeliminować z partji osobników o krwi narodowej, możecie państwo wobec tego wymienić wzajemnie niektórych członków. Jeśli się okaże, że prezes partji socjalistycznej...

CHUD. Pst...

WIT. To znaczy, ktobądź z klubu socjalistycznego ma we krwi jeden element, a więc jest czysto-rasowcem, a któryś z „prawego centrum” ma we krwi kilka rozmaitych elementów... to może nastąpić wymiana...

Ks. SK. I stan posiadania pozostanie niezmienny...

CHUD. Książę prezes ma zupełną rację...

Ks. SK. A więc tu zgłaszają się do laboratorium nasi ludzie... a zapłata?

WIT. Może nastąpić natychmiast...

Ks. SK. Wystawię panu czek narazie na 5,000 złotych, a potem się rozliczymy. No to tak jakby załatwione (podaje czek). Żegnam panów.

WIT. Żegnam Księcia prezesa.

CHUD. Najniższy sługa Księcia pana...

## SCENA 11.

W międzyczasie nadchodzi chora Żydówka, oficer kawalerji, uboga lokatorka, kupiec Żyd, Florkiewicz.

CHUDER. Jutro się zgłoszą towarzysze posłowie... a więc dowidzenia.

WIT. Cześć towarzyszu sekretarzu.

CHUD. (wychodzi... po chwili wraca) Wie pan — co do naszego prezesa. Wątpię czy on ma dwa elementy. Może jeden, może dociągnie się do jednego...

WIT. Proszę być spokojnym...

CHUD. Swój chłop. Cześć! (wychodzi)

WIT. (podchodzi do siedzących z karteczką w rękę i zapisuje) Proszę, czem mogę służyć?

ŻYDÓWKA. (z rosyjska) Przyjechałam z Wołynia. Bolna... ja do pana profesora.

WIT. W tej chwili zapiszę sobie... Nazwisko? Po kolei zapisuje wszystkich.

## SCENA 12.

W KANCELARJI. Do pokoju Chyla z dalszych komnat wchodzi Jadwiga wzburzona i zdenerwowana.

JADWIGA. Nie zniosę tych ludzi w swoim domu.

CHYL. Co się stało? O kim mówisz?

JADWIGA. Mówię o tym żydku i twojej kochance.

CHYL. (oponowuje się) Oni byli tu przed tobą.  
JADWIGA. Nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę ich tu mieć.  
CHYL. Wspólnymi siłami zbudowaliśmy nasz obecny dostatek. Są moimi współpracownikami i współnikami.  
JADWIGA. Nie macie żadnej umowy... wszystko twoje... nasze... Zapłać, niech idą skąd przyszli...  
CHYL. Nie dam sobie bez nich rady.  
JADWIGA. Major... doktor Chyl nie może sobie dać rady bez Wigdora recte Witolda — „on się potrzebuje nazywać Witold” — i bez pani Marty Florkiewiczowej, czy Flonderskiej.  
CHYL. Zapominasz się. Mówisz o ludziach, którym wszystko zawdzięczasz. Bez nich byłbym dotychczas nędznym waga-bundą, wyłudającym od nieświadomych ludzi grosz i łyżkę strawy... Oni mnie podjęli z ziemi.  
JADWIGA. Podjęli ciebie, boś był im potrzebny.. Ale już czas o tem zapomnieć co było. Mamy dziecko i obowiązki... Dlatego wróciłam do ciebie...  
CHYL. A może dlatego, bo ci zapachniały moje zarobki... Za tęskniłaś do luksusu, którego ci ojciec, urzędnik magistracki, nie mógł dostarczyć.  
JADWIGA. Chciałam, by nasza dziewczynka rostała w atmosferze rodzinnej... by miała ojca.  
CHYL. A czy ty wiesz, że Marta, którą każesz odesłać tam, skąd przyszła, że ona wstawiała się za tobą u mnie, bo nie chciałem ciebie znać.  
JADWIGA. Nie prosiłam nikogo o łaskę.  
CHYL. Twój ojciec skomlał o łaskę, o jej łaskę, bo do mnie nie śmiał przyjść, po tem waszem haniebnem rzuceniu mnie samego na pastwę losu... A jeśli byłem winny, to dla kogo potrzebowałem pieniędzy? Wiesz że wtedy nie miałem kochanek...  
JADWIGA. Opuściłam cię, bo chciałam ratować dziecko przed hańbą. Tak rozumiałam swój obowiązek. Wdzięczności dla Marty nie mogę okazać także z tego samego powodu. Nie mogę i nie chcę się osłabiać sentymentem, bo przedewszystkiem jestem żoną i matką.  
CHYL. Wszystko to co tu widzisz, jest ich i moją własnością.  
JADWIGA. Oni nie mają żadnego prawa. Nie mieliście umowy, a zresztą Marta nie rości sobie żadnych materialnych pretensyj...

CHYL. Mówiłaś z Martą?

JADWIGA. Mówiłam.

CHYL. Czy obraziłaś ją jakimkolwiek słowem ?

JADWIGA. Nie zaszła po temu żadna przyczyna. Rozmawiałam z nią, jak żona z kochanką męża... Powiedziała mi, że odchodzi...

CHYL. I... ?

JADWIGA. Odeszła.

CHYL. Odeszła bez porozumienia się ze mną ?

JADWIGA. Jak widzisz.

CHYL. Źle się stało, że Marta odeszła. Sama kiedyś przyznasz, że się źle stało, O ile ona przewyższa ciebie szlachetnością i bezinteresownością!

JADWIGA. Ma pod tym względem ułatwioną pozycję. Jest kobietą bez uprzedzeń. . kobietą wyzwoloną z przesądów. — Nie jest żoną i matką... a ja jestem i żoną, i matką.

CHYL. Ona mnie kocha.

JADWIGA. I ja ciebie kocham.

CHYL. Marta mnie pokochała, nędzarza, osądzonego wyrokiem. Wtedy nie mogłem jej niczego dać, bo sam częstokroć przymierałem z głodu Czy ty wiesz, że i dzisiaj nie bierze żadnych pieniędzy z kasy, jakkolwiek te pieniądze są wspólną własnością... A ty — dziwna rzecz — pokochałaś mnie nagle, kiedy osiągnąłem intratne stanowisko...

JADWIGA. Nie mniej kocham cię i niechcę ciebie stracić.

CHYL. Nie zapomnę ci tego, żeś wyrzuciła Martę. Dzięki niej wróciłaś do dostatku.

JADWIGA. Nie dzięki niej, tylko dzięki twojej obawie, że skorzystam z kompromitujących dokumentów, które zdołałam ukryć podczas rewizji...

CHYL. Z miłości ku mnie trzymasz te dokumenty, z miłości niemi grozisz?

JADWIGA. Niestety. Tą bronią walczę o swoje i dziecka szczęście.

CHYL. W czym ci przeszkadzała Marta ? Czy sądzisz, że zniweczysz w ten sposób we mnie uczucie dla niej ? Prędzej mnie samego zniweczysz.

JADWIGA. Uratuję ciebie...

CHYL. Ona będąc tu w tym domu panią, ustąpiła tobie miejsca. Nauczyła mnie rozumieć, że dla dziecka powinniśmy się



pogodzić, a miłość moja i Marty istnieje w nas, w niemniej-  
szym stopniu... To co u nas się dzieje, w nas samych, nie  
daje ci powodu do wkroczenia...

JADWIGA. Filozowanie na ten temat, jest bardzo wskazane  
i dobre, ale kiedy idzie o moją osobę, nie zgadzam się z tem  
wszystkiem. Jestem mieszczańką, kobietą o starych zasa-  
dach...

CHYL. Szkoda, że się nie możemy porozumieć... Przystąpimy  
więc do likwidacji. .

JADWIGA. Czego?

CHYL. Moich... wspólników.

### SCENA 13.

SŁUŻĄCA. Czeką inkasent za światło elektryczne i jakiś pan  
z urzędu podatkowego.

JADWIGA. Idę do niego.

CHYL. Tego pana z urzędu podatkowego proszę mi przysłać  
JADWIGA. (patrzy na rachunek za światło) Straszne! 33 złotych za  
prąd. W tym domu leci wszystko łbem na dół.

CHYL. I ty sądzisz, że zdołasz powstrzymać?

JADWIGA. Spróbuję. (wychodzi)

CHYL. (zostaje sam, zamyślony.)

### SCENA 14.

Po chwili wchodzi urzędnik podatkowy. Pantomina. Urzędnik bada  
księgi.

WIT. Państwo pozwolą, że ci, którzy przyszli celem zasiągnię-  
cia porady, udadzą się ze mną do arabalatorjum. (W tej chwili  
wchodzi Chyl, kłania się, coś szeptem mówi do Witolda.)

WIT. Nasze książki są w porządku, w tej chwili je przy-  
niosę. (do gości) Przepraszam. (wchodzi do kancelarii i z urzędnikiem  
przeglądają księgi.)

LOKATORKA. Jasny panie konsyljarzu, ja przyszedłam panu  
podziękować.

CHYL. Mnie za co? Nie znam was.

LOKAT. Pan mnie nie zna, a pan mnie pomógł na całe życie.  
Pan mnie uratował i moje dzieci...

CHYL. (zdziwiony) Nic nie rozumiem.

KUPIEC ŻYD. Jaśnie wielmożny pan zaraz wszystko zro-  
zumie...

CHYL. No, proszę.

KUPIEC. Pan jest dobroczyńcą ludzkości. Przez pana ja się stał potrzebny i ta pani potrzebna i ten król masażyistów potrzebny.

FLORKIEWICZ. Jestem go usług. Jako przedstawiciel cechu masażyistów i pielęgniarek z koleżanką Esterą Marcepan, przyszliśmy prosić łaskawego pana doktora na uroczystość wręczenia dyplomu honorowego cechu masażyistów i pielęgniarek.

CHYL. Dziękuję za zaszczyt jaki mnie spotyka. Dziękuję.

KUPIEC. Jasny wielmożny panie profesor, — czy pan wie co to jest człowiek niepotrzebny? To ja Efraim Schulbaum Schulbaum. S-c-h się pisze...

LOKAT. I ja lokatorka czynszowego domu przy ul. Pod Dębem 27. (do kupca) No mów pan.

KUPIEC. Zaryz. . O tem, że ja jestem niepotrzebny, mówił mi nie raz i nie dwa, pan Pawełkiewicz, ten co ma tę największą trefną wędliniarnię, mój sąsiad, jego żona i jego trzy córki i jeden syn i jeden zięć i dwóch wnuków... Mówił pan prokurator, bo ja miałem z nim jedną sprawę w sądzie; mówił mi pan urząd podatkowy; mówili, kto pan chce i kto pan nie chcesz.

LOKAT. Teraz ja powiem, a mnie mówił mój...

KUPIEC. Żeby pani i ja tak zdrowi byli, że ja powiem. Wie pan kto jeszcze mówił? Mój syn, rodzony syn... On także żyje z karczochoy, jak w tej komedji tego szmadylnyka... Ale najbardziej mnie złościło, że Pawełkiewiczze niechęć z nam obcować. Jiches jest ten sam. On ma trefne, a ja koszerne kiełbasy... Ale jemu nie było do honoru, a moją żonę szlag trafił trzy razy na dzień. No bo dlaczego nie?

CHYL. Panie, ja nie mam czasu...

KUPIEC. Czy pan ma pojęcie, co oni mnie się nadokuczali.. Proszę pana nadprofesora, a jak się jest już Żydem? To się niechce obcować? Nu to trzeba mu dokuczać?

LOKAT. A jak się jest lokatorką i няма się grosza na zapłacenie czynszu, czy należy prześladować biedną kobietę z trojgiem dzieci?

KUPIEC. Zaraz ja to skończę.

LOKAT. Przepraszam, bo zapomnę... Mój gospodarz pan Moses Steif, on handluje starem żelaziwem... Znam ja jego

sztuczki, ale mam sumienie i nie zdradzę go... Oby go tam pokrećilo, gdzie stoi, gdzie siedzi i gdzie leży..

CHYL. No, dobrze, ale co ja mam z tem wszystkim wspólnego ?

KUPIEC. Jak to, pan jeszcze nie wie ?

LOKAT. Mój jasny sokole... gwiazdo. Słońce coś mi zaświeciło nad ponurem mojem życiem...!

KUPIEC. A ta maść z alimentami ?

LOKAT. A ten płyn, co go musi dobry i niefalszowany katolik podać ?.

CHYL. No więc co?.. ludzie dobrzy ..!

KUPIEC. Nu pewnie...! ma się rozumieć...! Mój Pawełkiewicz, ten z trefnej wędliny idzie i nie upada ze schodów? I nie łamie sobie krzyż ?.. I nie woła 350 lekarzy, którzy mu nic nie pomagają? Aż 351 zapisuje maść i mówi, „tę maść musi wcierać tylko żyd, taki żyd prawdziwy, co ma 100% alimentów“. Nu, nu ! Jak się nie zaczęto szukanie prawdziwego Żyda? Gdzie był jaki na naszej ulicy, przychodził... Ale temu brakło 30% alimentów, a temu 15%, a temu jeden ostatni procent, no i mnie się żal zrobiło i ja sam poszedł z nieprzymuszonej własnej chęci.. I co pan nie mówi do tego..? Pomogło.. jak dłonią odjął.. i ja się stał mejiches w rodzinie.. Po pierwsze, to ja się przekonał, że ja jestem 100% alimentowy Żyd, po drugie ja się stał bardzo potrzebny Pawełkiewiczowi. Ja jestem już zaangażowany na całe życie do nacierania wszystkich Pawełkiewiczów..

LOKAT. A ja mogę dalej mieszkać i nie płacić czynszu, bo Mozes Steif umrze bezemnie. I to wszystko zrobił pan doktor Chyl. On jest obrońcą uciśnionych.

KUPIEC. Nu, pewnie !

LOKAT. Ja sobie kazałam wstawić dwa kaflowe piece, wymalować mieszkanie.

KUPIEC. A mnie zapraszają państwo Pawełkiewiczze na wszystkie żuresy fiksusy.. My bywamy u państwa Pawełkiewiczów..

FLORK. Ja protestuję. Pan niema prawa nacierać, pan nie zdał egzaminu, pan nie należysz do cechu, pan niemasz atestu z Instytutu badania krwi..

KUPIEC. My się tak przekonali bez Instytutu. Pawełkiewicz jest

100% goj to pewne, jak jeden a jeden jest dwa. A jak ja go wyleczył, to ja muszę być 100% alimentowy Żyd...

FLOPK. Pan nie masz prawa... Pan nie należysz do cechu. W naszym cechu są osobne sekcje, odpowiadające istniejącym specyfikom leczniczym. U nas jest sekcja A 100%, A9<sup>00</sup> jeśli potrzeba pielęgniarki albo masażyisty Żyda, można go zamówić w sekcji „S”, której kierownikiem jest koleżanka Estera Marcepan. Posiadamy na składzie wszystkie procenty alimentów. U nas można najlepiej dostosować do swej choroby masażyistów i pielęgniarki..

KUPIEC. Nu to ja się zapiszę do cechu.

EST, MARCEPAN. W naszym cechu jest już numerus clausus.

KUPIEC. Róbcie takie sztuki, to się zrobi pokątny handel z masowaniem...

CHYL. Bardzo się cieszę, że jesteście zadowoleni.. Ja muszę do pracy.. Czekają na mnie pacjenci...

(wychodzą kupiec, lokatorka, Florkiewicz).

## SCENA 15.

WITOŁD. (wchodzi) Pan doktor pozwoli do kancelarii, pan kontrolor podatkowy chce się pożegnać.

CHYL. A ci państwo...?

WITOŁD. Proszę za mną do ambulatorjum (wyprowadza żydówkę i oficera)

CHYL. (wchodzi do kancelarii i wyprowadza urzędnika podatkowego)

## SCENA 16.

(Wpada młody panicz, leci do gabinetu Chyła)

PANICZ. To jest nieporozumienie, albo oszustwo...

CHYL. Czego pan chce?

PANICZ. Pan pyta o to jeszcze?.. Oszukujecie ludzi i udajecie niewiniątka...

CHYL. Nie jestem lekarzem chorób nerwowych. Proszę się oddalić. (dzwoni)

PANICZ. Ja wam pokażę, kto tu jest warjatem! Oszusty! Wydrwigrosze !...

## SCENA 17.

(Wbiega Witołd)

CHYL. Proszę tego młodego człowieka stąd zabrać.

WIT. O co panu idzie?

PANICZ. Oszustyl! Udają niewiniątka! Ja dam znać napolicję...

WIT. Jednak radzę spokojnie powiedzieć czego pan żąda.

PANICZ. Żądam wytłumaczenia.. Żądam satysfakcji...

WIT. A widzi pan, że doszliśmy już do porozumienia. Satysfakcji? Proszę bardzo.. proszę do mego pokoju, pomówimy.. (wprowadza panicza do poczekalni) proszę usiąść.. o co idzie...

PANICZ. Przed wstąpieniem na uniwersytet, kiedy obok innych papierów zażądano odemnie świadectwa analizy krwi na czystość rasową.. otrzymałem stąd takie świadectwo..

WIT. Dotąd wszystko w porządku.

PANICZ. Nie całkiem, bo wykazaliście jakiś procent krwi mongolskiej. Ale jakoś uszło..

WIT. Więc czego pan chce?

PANICZ. Przed tygodniem zażądałem znowu takiego świadectwa, bo chciałem się zapisać do klubu sportowego „Ostoja”. Dałem krew do zbadania, a wynik analizy jest u diabła fatalny. Okazuje się, że jest 0,03 elementu semickiego. Przecież to jest oszustwo! Przez panów nie będę przyjęty do „Ostoi”; nie będę się więc mógł ożenić z córką księcia Skackiego. Tracę karierę.. Przez to, że nie przyjmą mnie do klubu sportowego „Ostoja” nie będę mógł być przyjętym do Ministerstwa Spraw Zagranicznych..

WIT. A jaj, ciężka sprawa.

PANICZ. Skąd do mnie 0,03% elementu semickiego? Z żydami nie mam absolutnie nic wspólnego.. Pieniądzy nawet od nich nie pożyczamy, bo ojciec otrzymuje wprost z Banku Gospodarstwa Krajowego. Na uniwersytecie siedzę po prawej stronie.

WIT. Z nimi, panie, to człowiek nigdy nie jest pewny.. Wystarczy, by pan na przykład w restauracji zjadł kawał chleba z piekarni żydowskiej, a już drobny odsetek elementu żydowskiego prześlizgnie się..

PANICZ. A co ja mam teraz zrobić?

WIT. Ma pan stare świadectwo?

PANICZ. Właśnie, że je zgubiłem.

WIT. (Myśli) Mam radę. Przedewszystkiem proszę sobie kupić maść A 100%. Zwracam uwagę, że jest bardzo silna. A potem wydam panu duplikat pierwszego świadectwa. Maścią proszę się smarować przez całe życie po goleniu. Działa profilaktycznie. Tą maścią niech się smarują pańscy rodzice i rodzeństwo. Proszę żądać maści A 100% po goleniu, fabrykacji „Geo“.

PANICZ. (zapisuje) A 100% po goleniu, marki „Geo“.

WIT. Tak jest. To panu pomoże. A tymczasem dam panu duplikat pierwszego świadectwa, mały odsetek elementu morganolskiego, panu nie zaszkodzi. Jest nawet modne u nas..

PANICZ. Dziękuję panu serdecznie.

WIT. No, niechce pan już satysfakcji?

PANICZ. Nie, dziękuję.

WIT. No to dobrze. Wie pan, że nawet nie mógłbym panu dać satysfakcji.

PANICZ. Dlaczego?

WIT. No, bo jak ktoś ma 0,03% elementu semickiego, temu Witołd Lang, pan słyszy? Witołd! Nie może jej udzielić. Pan zrozumie 0,03%.. No, no, ale to przejdzie.

PANICZ. Dziękuję panu z całego serca. (wychodzi.)

CHYL. (Wchodzi) Dlaczego nie przypilnujesz, by nie było takich pomyłek. Słyszałem wszystko.. On ma rację..

WIT. Cóż ja temu winien? Ruletka..

CHYL. Należy uzgodnić ze stanem rzeczy..

WIT. Narazie ruletka jest naszym wskaźnikiem.. Pan doktor jeszcze nie chce stosować swojej, w tajemnicy zachowanej metody, więc musimy korzystać z ruletki.. A ja tego, co ruletka wskaże, nie poprawię za żadne skarby..

CHYL. Widzisz, co z tego wynika..

WIT. Na to niema rady.. Ale metoda musi być utrzymana w całej swej osnowie..

CHYL. Rób jak chcesz.. Ja i tak dłużej nie wytrzymam w tych warunkach.. Marta odeszła..

WIT. (Przestraszony) Co? Pan ją rzuciłeś..

CHYL. Nie.. ja.. moja żona..

WIT. I co teraz będzie... Odeszła, nie pożegnawszy się ze mną.. I co teraz pocniemy bez niej?

CHYL. Kto ją zastąpi w naszym przedsiębiorstwie? Co ja bez

niej zrobić? Nie jestem zdolny bez niej do życia, do żadnej pracy..

WIT. Teraz pan biada, a nic pan nie uczynił, by ją przywiązać do siebie.. skarżyła się, że pan się zmienił wobec niej.. więc pewnie dlatego poszła.

CHYL. Zauważyła zmianę? Tak rzadko przebywała ze mną.. Pracowałem ostatnio wiele nad moją teorią mgielek.. Doszedłem nawet do dobrych rezultatów, czekam tylko potwierdzenia ze strony profesora Jounga, z uniwersytetu w St. Ohio.

WIT. Jak każda kochająca kobieta, nie zniosła obojętności.. Zdawało się jej, że pan jej już nie potrzebuje.. Przynajmniej mnie tak powiedziała.

CHYL. Jak można było mnie tak źle osądzić! Pracowałem, ona sama mi dodawała bodźca do twórczej pracy, przez nią nie zdałem się na twoją ruletkę, tylko szukałem nowych dróg dla naszej teorii.

WIT. Proszę się uspokoić, panie doktorze. Należy pomyśleć jak wybrnąć z tej całej gmatwaniny.. Nasza idea to grunt..

CHYL. Ano trzeba próbować żyć.. (Zamyśla się, wypatrując kogoś przez okno.)

WIT. Mamy dużo roboty: dwa kluby poselskie dają krew.. Muszę poprawić ruletkę. Socjaliści chcą koniecznie, by w krwi ich członków znaleźć równocześnie trzy różne elementy.. a ruletka wskazuje tylko dwa.. więc należy poznać w ten sposób.. Pan mnie nie słucha?..

CHYL. (Zamyślony, po chwili) Jak my wyglądamy finansowo?

WIT. Mam tu dokładne zestawienie. Szczęście, że było gotowe; właśnie dzisiaj była kontrola podatkowa.

CHYL. No więc jak się to wszystko przedstawia?

WIT. Analizy przyniosły 185,240 zł., za dodawanie elementów do specyfików farmaceutycznych fabryce „Geo“ 437000 zł. — Na wydatki składają się następujące pozycje — wie pan, panie doktorze, że my płacimy olbrzymi podatek.. Tu trzeba by coś zrobić..

CHYL. Jaka jest końcowa suma, pytam?.

WIT. Jeszcze nie odjąłem.: Około 300.000 złotych ma pan doktor na swoim koncie w PKO.

## SCENA 18.

LISTONOSZ. Telegram dla doktora Chyla.

CHYL. Proszę. (niecierpliwie rozrywa) Chwała Bogu.. Mają sposób badania krwi, sprawdzany z doskonałym skutkiem. Czytaj. — Teraz jestem wolny.

WIT. (bierze telegram, — do listonosza) Mam podpisać. (podpisuje i daje napiwek.)

LIST. Całuję rączki. (odchodzi).

WIT. (Czyta po cichu) . . . . .  
. . . . . Zaczynamy nowe życie... nowiu-  
sienkie życie Trzeba dać znać prasie..

CHYL. Nie pozwalam..

WIT. Dlaczego? Co się stało?

CHYL. My zwijamy budę..

WIT. Co??. Co??. Ktoś zwarzował, Chyl.. panie doktorze...

CHYL. Możesz już do mnie przemawiać per „ty“. Nie potrzeba nam dalej grać komedji...

WIT. Chyl, coś ty powiedział?

CHYL. Zwijamy budę..

WIT. A twój.. a mój.. a nasz wynalazek.. idea?.. Dwa kluby poselskie?

CHYL. Te dostaną jeszcze analizy, ale nie wedle twojego systemu. Zbadamy krew moim nowym systemem..

WIT. Więc ja...

CHYL. Ty i ja.. pójdziemy stąd.. Musimy..

WIT. A ja myślałem nad nowym systemem, umożliwiającym płacenie mniejszego podatku...



## AKT III.

### SCENA 1

Scena przedstawia wagon lokalnej kolejki. Wagon podzielony na II klasę i III klasę. W trzeciej klasie o trzech oknach widzimy adwokata dra Kohna, siedzącego z Witoldem przy jednym oknie, w oddaleniu siedzi Florkiewicz, masażysta. Przy drugim oknie jest miejsce dla chłopów i żydów, a przy trzecim siedzi samotnie Marta. W drugiej klasie widzimy Ks. Skatackiego, czytającego gazetę.

WIT. No i drogi wujaszek nie spodziewał się, że jego syno wiec stanie się krociowym panem.

Dr. KOHN. Kto się mógł spodziewać, że ten warjat da c 200.000 złotych.

WIT. Dla ścisłości radbym sprostować pewną nieścistość.. Chyl nie dał mi, tylko oddał to co nam się należało,— mnie i Marcie...

Dr. KOHN. Jakiej Marcie?

WIT. Naszej trzeciej współpracze...

Dr. KOHN. Wybacz mi, ale widzę, że mam do czynienia z bandą warjatów. Ten wasz Chyl, jeden warjat, daje 200.000 złotych, ty drugi warjat martwisz się jakąś panią Martą i chcesz jej podarować pieniądze.. Nie mieliście żadnego układu, więc nikt ciebie nie może zmusić do dawania jakichkoiwiek pieniędzy.. Zabraniam ci dawać jakikolwiek pieniądz.

WIT. A to jakim prawem?

Dr. KOHN. Jako ojciec twojej narzeczonej..

WIT. Mojej narzeczonej?.. Nie pamiętam, bym się zaręczył kiedykolwiek.

Dr. KOHN. O Beli zapomniłeś?

WIT. Jakże mogłem zapomnieć o Beli.. kiedy ją Kocham nad życie..?

Dr. KOHN. A widzisz?

WIT. To jest wymarzona kobieta, samodzielna, nowoczesna!.

Dr. KOHN. Mnie się ta samodzielność dzisiejszych kobiet wcale nie podoba.. Ale nie mogę nic poradzić...

WIT. Imponuje mi moja dziewczyna wszystkim. Całym życiem. Rzuciła wszystko, dom, rodzinę, studia, poświęcając się idei.

Dr. KOHN. Co ty mówisz? Bela poświęciła się idei? Jakiej idei? Moja Bela?

WIT. Moja Bela!

Dr. KOHN. Chłopcze, znamy się od dawna.. Byłeś cynicznym i zostajesz nim do dnia dzisiejszego. A cóż ci to szkodzi, że twoja Bela jest moją Belą?

WITOŁD. (mierzy Kohna od głowy do stóp.) Wujaszku, jesteś jeszcze za młody.. abym ci mógł powierzyć moją Belcię..

Dr. KOHN. Ojcu?

WITOŁD. To, samo, żeś mi dawał czasami pieniądze, nie świadczy, że jesteś moim ojcem.. Pan Bóg zamianował ciebie tylko wujem, wujciem, wujaszeczkiem i to ci narazie musi wystarczyć..

Dr. KOHN. Jestem ojcem Beli, czy nim nie jestem?

WITOŁD. Moja miła, — ale nie narzeczona, to całkiem coś innego, — nazywa się Berta Kohen, a ty, o ile pamiętam, nazywałeś się Kohn..

Dr. KOHN. Moja córka zmieniła nazwisko?

WITOŁD. Ach, dorozumiewam się w tej chwili, że mówisz o Beli Kohn, studiującej historię sztuki w Berlinie.

Dr. KOHN. A ty o kim mówisz?

WITOŁD. O Beli Kohen z Palestyny..

Dr. KOHN. Zaręczyłeś się z inną?

WITOŁD. Nie zaręczyłem się.. Tylko sobie ot.. tak.. Masz krótką pamięć, drogi wuju.. Zapłaciłeś mi sporo, bym się nie pokazywał na oczy twojej córce..

Dr. KOHN. Nie nazywaj mnie drogim wujem, niewdzięczniku!

WITOŁD. Ja jestem niewdzięcznikiem? Nie zasłużyłem sobie na to miano.. Wziąłem pieniądze, a wdzięczność wujaszku, wymówiłeś sobie w formie mojej rezygnacji z miłości Beli, twojej córki.. Nie możesz mi więc za złe wziąć, że

z pamięci dla drogiego imienia mojej byłej Beli, pokochałem moją obecną Bełę. Zamknąłem oczy i pokochałem Bełę, pamiętając o dawnej miłości; a nazwisko Kohen przypomniło twoje kochane nazwisko Kohn.. Mnie się zdaje zresztą, że te nazwiska są takie same, bo gdybyś ty mieszkał w Konstantynopolu, nazywałbyś się Kohen..

KOHN. Szczęście, że ciebie nie biorę na serjo.. Mam jednak nadzieję, że się jeszcze namyślisz i zapomnisz o tej z Konstantynopola..

WITOŁD. Ona jest teraz w Palestynie. Pracuje na roli i myśli o mnie.. Byłbym już ojcem swojego syna, gdyby nie twój telegram, wzywający do odebrania z banku pieniędzy.

KOHN. Pojechałeś tam i nie dawałeś znaku życia.. Ledwie z centrali partji syonistycznej poinformowali mnie o miejscu twojego pobytu..

WIT. Uciekłem stąd jak opętany.. Wyobraź sobie wujaszeczkę że ci burza i ogień zrówna z ziemią całe domostwo i nic ci nie zostanie.. Nic, — tylko ty sam patrzysz na zniszczony efekt swojej pracy i tyloletnich wysiłków..

KOHN. Nie gadaj takich głupstw! Chwała Bogu jestem asekurowany..

WITOŁD. Ja niestety nie byłem zaasekurowany.. Miałem w kieszeni czek na 5.000 złotych; jakiś klient mi go zostawił.. Czekaj.. jak on się nazywa?.. Jakiś Książę.. On był prezesem klubu „Prawe Centrum“?

KOHN. Pewnie Książę Skałacki.

WITOŁD. Ten sam.. Błogosławię go jeszcze dzisiaj. Zrealizowałem, wtedy ten czek i wyjechałem gdzieś przed siebie.. Dlaczego osiadłem w Palestynie sam nie wiem.. Coś mnie tam ciągnęło, a może dlatego, że już nie miałem więcej pieniędzy i nie mogłem dalej pojechać..

KOHN. Wszystko rozumiem, żeś wyjechał, żeś osiadł w Palestynie, żeś się zakochał. Ale tego nie mogę pojąć, żeś przez cały rok nie zainteresował się, co się dzieje z twoim pomysłem, realizowanym tak świetnie i nagle zarzuconym.

WITOŁD. Charakter i istota samego pomysłu wymagały, by go oddać w ręca Chyla. Zdawało mi się, że mój wybór był dobry, tymczasem Chyl rozbił to drogocenne naczynie.. Ja go zlepić nie mogłem.. więc o tem wszystkim zapomniałem, a tembardziej, że..

KOHN. Zakochałeś się..

WITOŁD. Nie to.. tylko obmyśliłem całkiem nowy plan realizacji świetnego pomysłu.. Całkiem nowa rzecz..

KOHN. Ty wiecznie realizujesz jakieś pomysły..

WITOŁD. Wuju, nie wiesz nic o tem, co się we mnie dzieje kiedy mi w głowę strzeli jakaś myśl.. Drobną z początku, taka „ot sobie“, a potem potężniejsza jak lawina i toczy się mnąc po drodze wszystko inne, co nią nie jest.

KOHN. Ja jednak przypuszczałem, że jesteś praktyczniejszy..

WITOŁD. Najgorsza rzecz, że pod tym względem zawiodłem się sam na sobie. Chciałbym się dowiedzieć coś bliższego o Chylu. (Mówią po cichu.)

## SCENA 2.

I znów jak w pierwszym akcie wsiadają i wysiadają pasażerowie.

Przy oknie środkowym siadają nasi znajomi: żydzi, baby i chłopi.

BABA. Szukaj wiatru w polu..

CHŁOP. Znikli, jakby ich na świecie nie było.

ŻYD 1. Lekarstwa przestały pomagać.

ŻYD 2. Pewnie mieli tajemnicę, której nikomu nie zdradzili- a te obecne lekarstwa są fałszowane..

ŻYD 1. O joj oj.. dlaczego nie? Koniaków to nie fałszuje się! Dzisiaj się wszystko fałszuje.. a nazywa się koniak..

CHŁOP. A rumu nie fałszujesz Jośku? Sprzedajesz świństwo za rum..

ŻYD 1. Ja nie mam karczmy.

BABA. Pokryjomu sprzedajesz, żydku..

ŻYD 2. Cicho! cicho! Nie mówimy o interesie, tylko o choro-  
bie..

BABA 2. Prawda wasza... Jak człek chory, to mu, ani koniak ani rum w głowie..

CHŁOP. A tak mi żal, że tych gdzieś wyrwało... że mnie cholera trzęsie... Baba znowu zdycha.. a ty rób co chcesz. Na dobitek krowa zachorowała... i świnię tanie.. Cała chudoba na nic..

BABA. Oni byli dobrymi doktorami.. Pomagali ludziom.. Teraz znowu musimy szukać innych doktorów.. I jak trudno trafić na swego?

CHŁOP. Bo leczenie musi być indywidualne..

BABA 1. A jakże indywidualne..

ŻYD 2. Dowiadywałem się w jednej aptece we Lwowie.. Mam tam znajomego prowizora.. On pochodzi z naszych stron.. Chciałem się dowiedzieć, gdzie te cudowne doktory się podzieli..

BABA. No i co?

ŻYD 2. Choroba na jego kiszki.. On się zaczął śmiać, — to było rano — pewnie się śmiał do samego wieczora.

CHŁOP. Z czego się śmiał?

ŻYD 2. Ja wiem z czego się śmiał? Ładne pytanie?

ŻYD 1. Nu pewnie — z czego tu się śmiać?!

ŻYD 2. On mówił, że to jest.. Ja wiem jak on to nazwał? Blef..

ŻYD 1. Jakies łacińskie znaczenie..

CHŁOP. A może jakies lekarstwo?

ŻYD 2. Popatrzyłem na niego i pomyślałem: głupi goj.. Szkoda, że pochodzi z naszych stron. Powiedziałem „przepraszam” i poszedłem. A co miałem robić? Bić się z nim?

BABA. A to nieszczęście..

### SCENA 3.

KOHN. ...W gazetach o tem było. Pisali przez kilka tygodni.. Nie czytałeś tam naszych gazet?

WIT. Miałem dość do czynienia z dziennikami i z dziennikarzami, kiedy byłem szefem propagandy naszego przedsiębiorstwa.. Mam ich wszystkich dość. Nie czytuję gazet..

KOHN. We wszystkim jesteś skrajny, albo za dużo.. albo zupełnie nic. Tak... Ktoś przedłożył sądowi kompromitujący dokument i znowu się proces odbył i znowu został skazany..

WIT. Biedny Chyl..

KOHN. On nawet nie stawił się w sądzie.. Znikł gdzieś. Nie szukano go nawet, bo i tak karę odsiedział..

WIT. Mimo wszystko to porządny człowiek.. Pomyśl, rozdzielili majątek na trzy części.. Pieniądze złożył do banku.

KOHN. Teraz pewnie żyje z kapitału..

WIT. Ma żonę i dziecko..

KOHN. O ile sobie przypominam pisali, że się rozszedł z żoną.

WIT. Rozeszli się??

## SCENA 4.

FLORK. Przepraszam, że się wtrącam do rozmowy.. Pracowałem z doktorem Chylem.

WIT. Pan z nim pracowałeś? Nie przypominam sobie..

FLORK. To znaczy.. nie ja, ale moja żona..

WIT. Marta..

FLORK. No tak.. moja była żona.. Czy i ona otrzymała 100.000 złotych?

WIT. Tak mnie poinformował mój wuj, pan doktor Kohn. Prawda?

KOHN. Ja ciebie tak nie informowałem. Nie słyszałem niczego, o żadnej pani..

WIT. (do Flork.) Mój wuj nie pamięta. Ma krótką pamięć... Zapewniam pana, że pani Marta otrzyma 100.000 złotych...

KOHN. Warjat!..

WIT. Państwo pozwolą, że ich przedstawię. (Kohn i Florkiewicz, podają sobie ręce.) A gdzie jest pańska żona?

FLORK. Nie wiem. Od przeszło czterech lat żyjemy w separacji.. Nie mogliśmy się porozumieć.. Była zanadto delikatna. Rozmawiałem z nią...

WIT. Kiedy?

FLORK. Temu dwa lata.. Ona mi dała swój bilet polecający do doktora Chyla.. To ja zorganizowałem cech masażystów i pielęgniarzy..

WIT. Teraz przypominam sobie pana. Poznaliśmy się na przyjęciu w cechu masażystów, z okazji nadania dyplomu honorowego..

FLORK. Nie wiem, kiedy to było.. ale myśmy się gdzieś widzieli.

WIT. Byłeś pan wtedy nieco, jak to się mówi, zamroczony..

FLORK. Ach tak piję po trochu. To dla protestu człek pije..

WIT. Przeciw czemu pan protestuje?

FLORK. Przeciw temu co jest. Nie znoszę terażniejszości.. Uciekam od niej jak mogę..

KOHN. Żle się panu powodzi?..

FLORK. Obecnie gorzej.. od kiedy przebrzmiała teoria doktora Chyla..

WIT. Teoria kontrastowego leczenia?

FLORK. Ta sama. Lecznictwo poszło dalej naprzód. Teraz się leczy czarodziejską laseczką.. Wystarczy dotknąć się bolącego miejsca i pacjent zdrow jak ryba. Te wszystkie leki

- z elementami „A“, „S“, „M“ i t. d. są obecnie niemodne..  
 Medycyna idzie naprzód, nie kontentuje się tem co jest..
- WIT. Upija się tak jak i pan..
- FLORK. Straciliśmy zajęcie.. Szkoda. Zarabiał się doskonale..  
 Mnie specjalnie dobrze się działo.
- WIT. Miał pan dużo zajęcia ?
- FLORK. Bardzo wiele, ale też miałem doskonały „Befund“  
 A 100%! — 100% elementu aryjskiego.. to coś znaczy. Nacie-  
 rałem bogatych żydów.. i żydówki.. Powodziło mi się lepiej  
 niż przy wojsku.. Człowiek żył jak bąk..
- WIT. Ciągłe pan protestował?
- FLORK. W najrozmaitszy sposób.. Zapominało się o bożym  
 świecie.. Nawet o teorii doktora Chyłą.
- KOHN. A teraz ona o panu zapomniała.. Ale też tutaj dym  
 i czad.. (do Wit) Przejdźmy do drugiej klasy.
- WIT. Proszę sobie nie przeszkadzać. Niech się wuj nie po-  
 święca dla mnie. Przecież wuj ma bilet drugiej klasy, a ja  
 jeszcze dzisiaj pojedę trzecią klasą.. póki nie podejmę pie-  
 niędzy..
- KOHN. Nie chciałbym, byś się kochany, męczył i tak dopiero  
 wczoraj przybyłeś z Palestyny. Miateś ciężką podróż. Sza-  
 nuj się mój drogi..
- WIT. Jakiś ty dla mnie dobry. Przyzwyczałem się do niewygód.  
 Porozmawiam z panem Florkiewiczem. Dzisiaj jadę ostatni  
 raz w życiu trzecią klasą. Od jutra awansuję do drugiej klasy.
- KOHN. No to dobrze. Przejdę do drugiej klasy; może się uda  
 przespać. (Przechodzi do drugiej klasy.)

## SCENA 5.

- KOHN. Sługa najniższy księcia Marszałka.
- KS, SKAŁ. Dobry wieczór panu.
- KOHN. Książę Marszałek.. na kilka do swego powiatu?
- KS. SK. Uciekłem wprost ze stolicy, aby się przypatrzeć co  
 się dzieje w Sejmiku Powiatowym. Pozatem jestem na-  
 prawdę przepracowany.
- KOHN. Polityka męczy.
- KS. SK. Panowie wyborcy nie mają pojęcia, ile my pracujemy.  
 Narażamy zdrowie i nieraz życie.
- KOHN. Tego naprawdę nie rozumiem. Narażać życie dla wy-  
 borców?

KS. SK. Nie dla wyborców, kochany mecenasie. Patrzymy na całość. Powiat. województwo. kra<sup>2</sup>. Jest w nas jakaś wewnętrzna potrzeba pracy społecznej. politycznej. Jest ona silniejsza od przywiązania do życia.

KOHN. Naród nie jest wdzięczny.

KS. SK. O tem się nie myśli, kiedy się jest czynnym. Refleksje są udziałem dymisjonowanych. Wtedy pisze się pamiętniki. Wściekłe połączenie do Koziołkowa. Można się dostać tylko nocnym pociągiem.

KOHN. Skorzystam z obecności Księcia pana, i odwiedzę go jutro w Wydziale Powiatowym; złożę relację z tych trzech procesów..

KS. SK. Aha zapomniałem. Wie pan, że ten jeden o miedzę zirytował mnie. Czysty bolszewizm. Niema na to rady?

KOHN. Mam nadzieję, że sąd przyjmie nasz punkt widzenia..

KS. SK. Ale jak oni to wszystko traktują obojętnie. Mają czas.. A ja chcę mieć satysfakcję na miejscu..

KOHN. Przy tej okazji chciałem prosić Księcia, o interwencję w sprawie mego kuzyna..

KS. SK. Tego miejskiego weterynarza?

KOHN. Nie chcą go stabilizować..

KS. SK. Pamiętam o tem dobrze. Muszę w jakiś dyskretny sposób tę sprawę poruszyć. Nie wypada mi.. „Prawe centrum“.. I tak są na mnie źli, że mając do wyboru pomiędzy panem a doktorem Ciechcińskim, panu powierzam sprawę sądową..

KOHN. Pracuję dla Księcia pana od tylu lat i nie zawiodłem zaufania..

KS. SK. Broń Boże! Mówię im to wszystko. Tłumaczę, że Ciehcinski pije i na rozprawie zapomina kogo zastępuje, broniąc często swego przeciwnika.. Tłumaczę, a oni wszyscy psioczą..

KOHN. Przyjaciele polityczni..

KS. SK. Ach ci przyjaciele.. Ledwie się przed nimi obronił. Chcieli mnie wygryźć w związku z przeprowadzoną analizą krwi na czystość rasową naszego całego klubu..

KOHN. Czytałem o tem.

KS. SK. Na szczęście, ta cała teoria ras wzięta w łeb..

KOHN. Sposób badania czystości rasy?

KS. SK. Nie. Ten został nawet znacznie ulepszony.. w Paryżu.



Tylko najnowsze badania, tą właśnie metodą, wykazały, że niema mowy o czystości rasy. Zastanawiam się tylko, jak się odbywa to pomieszanie ras? Naprzykład skąd do mnie 23<sup>3</sup>/<sub>4</sub> elementu semickiego? Chyba przez dotknięcie?

KOHN. Może w powietrzu znajdują się te elementy?

KS. SK. Nie wiem. Mój kuzyn, z linii lotaryńskiej, pisał o tem, On właśnie udowodnił, że czystość rasy jest absurdem.

KOHN. Ja natomiast gdzieś czytałem o jeszcze nowszym sposobie badania ras, a mianowicie z zapachu potu ludzkiego.

KS. Sk. Nie do uwierzenia. Do czego, nauka nie zdąża? Po zapachu potu?

KOHN. Te badania są rzekomo subtelniejsze..

(Mówią po cichu, wreszcie zasypiają.)

## SCENA 6.

FLORK. Tak jak do dziewczyny mówię.. „od pierwszego wejrzenia“.

WIT. Podobałem się panu?

FLORK. Słowo honoru daję.. Słowo, wielka rzecz!

WIT. Wierzę.. wierzę jak pan daje słowo.. Zdarzyło mi się to już drugi raz w życiu. Czekaście.. czekaście, a może trzeci? Tak trzeci raz..

FLORK. (Tajemniczo.) Mówiłem.. widzi pan, że mówiłem.

WIT. Coś pan mówił?

FLORK. Właśnie.

WIT. Co właśnie?

FLORK. Że mi się pan od pierwszego wejrzenia podoba i dlatego panu zaproponuję jeden interes.. Nikomubym o tem nie pisał słowa..

WIT. Jaki interes?

FLORK. Odkryłem mianowicie cudowne lecznicze własności jednej rośliny..

WIT. Naprawdę?

FLORK. Mówię poważnie.. Mój brat jest sędzią..

WIT. W takim razie wierzę..

FLORK. Rzecz jest bardzo ważna.. Sam nie wiem co mnie do pana ciągnie..

WIT. Mówmy o interesie.

FKORK. Wypróbowałem ten środek w kilkudziesięciu wypadkach. Specjalnie, wypadek wyleczenia jednego księdza na

Podkarpaciu, zjednał mi wdzięczność i reklamę.

WIT. Jak to wygląda?

FLORK. Robi się odwar z tej rośliny i pije trzy do sześciu szklanek dziennie.

WIT. (zapala się) Tę roślinę będzie można sproszkować i w tabletkach, ładnie opakowanych, sprzedawać pod nazwą... nazwą, na przykład „Nogal“.

FLORK. Pan się zna na rzeczy.. W tej chwili poznałem się na panu..

WIT. A na jakie choroby skutkuje pańska roślina?

FLORK. Skleroza.. angina pectoris.

WIT. To doskonale! Bardzo częste wypadki. Można by zareklamować, że to działa na przemianę materji. Teraz wszystko się nazywa chorobą przemiany materji..

FLORK. A więc zrobimy interes? Ziele mam przy sobie.. Pokażę je panu.

WIT. Już drugi raz w życiu, przypadkowe spotkanie przynosi mi szczęście. Tylko teraz dla ostrożności spisujemy kontrakt u adwokata.. Na szczęście mój wuj jest w pociągu.. Więc spółka?

FLORK. Nie. Ja nie mogę się wiązać, bo moje zajęcia nie pozwalają mi siedzieć na jednym miejscu..

WIT. Czem się pan zajmuje?

FLORK. Wielką sprawą..

WIT. Talemnica? Nie nalegam wobec tego.. Ile mam panu zapłacić za sekret? Dobrze się składa, mam podjąć jutro w banku pieniądze.. Wyplacę panu jego należność.

FLORK. Nie żądam od pana żadnych pieniędzy.

WIT. Ani spółki, ani pieniędzy? Więc w jakiej formie zrobimy interes?

FLORK. Już o tem pomyślałem.

WIT. Więc jak? Gdzie jest to ziele?

FLORK. Mam. Za chwilę przyniosę, bo jest w walizie w drugim wozie.

WIT. Proszę już raz przynieść! Skończmy nasz układ i weźmy się do roboty..

FLORK. Daj Boże szczęścia! (Podają sobie dłonie)

WIT. Tworzę rodzimy przemysł farmaceutyczny! A czy ta roślina jest krajowa? Czy egzotyczna?

FLORK. Krajowa, skromna roślina i boską ma moc. Pójdę i przyniosę..

WIT. Krajowa? To nic nie szkodzi. Napiszemy, że dodaliśmy jedną tysięczną grama chińskiego ziele „Suń w czaj“.. Egzotyka musi być. Więc układ?

FLORK. Proszę być spokojnym.. (Przechodzi obok Marty i poznając ją w mrocznym świetle lampy, zawieszanej w środku wagonu) Marta... moja żona?

MARTA. (Budzi się ze snu) Ach to ty?

FLORK. Doskonale się składa, że się spotykamy. Mam dla ciebie radosną nowinę...

MARTA. Jaką?

FLORK. Ten twój doktor Chyl złożył na twoje nazwisko w Banku Pokoju 100.000 złotych.

MARTA. Skąd o tem wiesz? Widziałeś Chyla?

FLORK. Jest w tym samym wagonie, ten łapserdak, jego pomocnik.

MARTA. (z radosnym okrzykiem) Witołd?!

WIT. (usłyszawszy, podchodzi) Pani Marto!..

MARTA. Co pan wie o Chylu? Na miłość boską powiedz mi pan coś o nim.

WIT. Nic o nim nie wiem. Byłem w Palestynie.

MARTA. W Palestynie?

WIT. Czego się pani dziwi? Po przepędzeniu mnie przez Chyla, pojechałem do kraju Semitów, aby jako 100%-elementowy Aryliczyk z krwi, kości i imienia.. smarować Palestyńczyków.

MARTA. Zawsze panu głupstwa w głowie.

WIT. ..Cieszę się, że panią widzę.. Naprawdę, że się cieszę.. Pamięta pani, jak to wspólnie wynajdywaliśmy mgietki.. Wie pani co mi Chyl powiedział na pożegnanie?

FLORK. Idę po ziele.

WIT. Pan pozwoli, że tymczasem z pańską żoną porozmawiam..

FLORK. Z panem może porozmawiać..

MARTA. Nie masz prawa pozwalać, lub nie pozwalać.

FLORK. To był tylko żart Marto.. Niemniej byłbym skłonny z tobą przeprosić się.

MARTA. Nęć cię moje pieniądze.

LFORK. Zawsze byłoby nam obojgu lżej żyć.. Należy liczyć się z ekonomją..

MARTA. Na nic twoja ekonomja.

WIT. Przynies pan wreszcie to tajemnicze ziele..

FLORK. Dobrze.. a z tobą.. mogę ewentualnie zrobić interes.  
(odchodzi) Pomówimy jeszcze.

## SCENA 6.

MARTA. Co panu powiedział Chyl?

WIT. Powiedział, że mi nie jest wdzięczny, za tę całą imprezę, która go pchnęła na wyżyny..

MARTA. Co się z nim stało? Szukam go po całym kraju.. Napróžno..

WIT. Niczego o nim nie wiem Wuj mnie ściągnął telegraficznie. Przysłał mi telegraficznie, pieniądze na podróż... Chce, bym się ożenił z jego córką..

MARTA. Pan już jesteś znowu żydem?

WIT. Niech Pan Bóg broni.. W Palestynie jest miejsce dla chrześcijan.. byleby tylko opróżnili miejsca pozostałym w Europie żydom.. Zresztą ja tak lubię dzwony.. bijące dzwony..

MARTA. A stryj zgodziłby się na ślub córki z chrześcijaninem?

WIT. Nawet mnie nie pyta o pochodzenie i wiarę.. Ktoby pytał takiego rycerza, powracającego z wyprawy krzyżowej o detale?.. Daje mu się córkę i ma się spokój..

MARTA. No tak. 100 000 to ładny pieniądz..

WIT. A pozatem ma się załatwioną kwestję żydowską... Jedno zgrabne zanurzenie w aryjskim święconem morzu.. i już płyniemy wspólnie, z resztą, o tej samej barwie, tem samem ochronnem upierzeniu.. Jedno zanurzenie się, a wnuczątka doktora Kohna, prezesa kahału w Koziołkowie, nie będą uderzały łbem o numerus clausus.. Będą przyjęte do klubu sportowego „Ostoja“, a stamtąd jeden krok do M. S. Z.. Nie jestem złą partją!

MARTA. Jestem pełna podziwu dla pana.

WIT. Pani myśli, że nie jesteś odemnie zależną?

MARTA. W jakim stopniu? Ciekawam.

WIT. Chył zostawił pieniądze dla pani w banku. Złożył je na moje nazwisko..

MARTA. Skąd pan wie, że one są dla mnie przeznaczone?

WIT. Domyślał się, bo mieliśmy w chwili zburzenia Jerozolimy.. 300.000 złotych.. a więc w golusie..

MARTA. Zburzenie Jerozolimy? Co tam pan wygaduje.. w golusie?

WIT. Ach prawda, pani tego nie rozumie.. Jak się przebywa w Palestynie, to się żywa człek z tamtejszemi analogjami i symbolami. Niby to zburzenie Jerozolimy oznacza, zaważenie naszej egżystencji.. a golus to niby.. taki stan.. do niczego.

MARTA. Nie przyjmuję żadnych pieniędzy..

WIT. Masz drugiego Chyła w spódnicy... Zaraz to pani wytłumaczę. Otóż w chwili rozejścia się, mieliśmy 300.000 złotych złożonych w banku na nazwisko Chyła... Z tego wynika, że on rozdzielił majątek na trzy części. Z tych dwie złożył na moje nazwisko.

MARTA. Dlaczego na pańskie?

WIT. Zastanawiałem się nad tem. Przypuszczam, że ze względu na to, że pani nosi nazwisko męża; więc bał się komplikacyj...

MARTA. Może być, że ten wzgląd go powstrzymał od złożeńie pieniędzy na moje nazwisko...

WIT. I tak jest wszystko w porządku.. Pani Marto! Znow przypadek nas związuje... Ja to widzę.. że wygrywamy nowy los.

MARTA. Nie mam zaufania do pańskiego przypadku.

WIT. Oj oj oj... niech pani nie obraża losu.. Los jest bardzo obraźliwy.. Czego pań chce? Rozpocznemy nowe życie!

MARTA. Bez Chyła?

WIT. Kto pani powiedział, że bez niego? Odszukamy go żywego, lub umarłego. On musi być.. dla dekoracji każdego naszego interesu. Spiszemy tylko kontrakcik.

MARTA. Pan ciągle o interesach...

WIT. Jutro wyjmuję pieniądze z banku. Przedewszystkiem je dokładnie przeliczam... Jeden tysiączek... składam w kupkę.. drugi tysiączek w kupeczkę.. potem trzeci.. czwarty.. setny... Naturalnie procenty muszą być wypłacone do joty... Jutro dzień wielki... Będziemy mieli pieniąż, Pierwszy raz

w życiu kapitał. A potem kapitał rozpocznie swój zwycięski pochód..

MARTA. Co pan zamierza robić ?

WIT. Co my zamierzamy zrobić ? Ja i mój kapitał ? Przedewszystkiem pani otrzymuje na łapkę swoją część. Potem wysyłam swoim miłym krewnym ich pieniądze..

MARTA. Jakie oni mają pieniądze ?

WIT. Myślę o zapomogach, któremi mnie wspierali.. Oddam im z procentami.. Nigdy im nie byłem tak wdzięczny, jak obecnie, że mi skąpe dawali zaliczki, bo drobnym pieniądzem, oddam wszystko.. Potem pani Marto, ja i pani.. robimy interes z Florkiewiczem..

MARTA. Z moim mężem ?..

WIT. Kupujemy od niego tajemnicę pewnego leku.. Zakładamy fabrykę przetworów farmaceutycznych. Stajemy się przemysłowcami.. Na targach poznańskich, na targach wileńskich.. katowickich, wschodnich, rówieńskich, tarnopolskich.. koziołkowskich wystawiamy .. ja Witołd Lang.. z rodziną i pani Marta primo voto Florkiewicz.. Chylowa. Jakoś to zrobimy przez konsystorskich adwokatów...

MARTA. Pańskie słowa ciągną człowieka, jak sznury.. Winda..

WIT. Bo proszę pani, słowo, to wielka rzecz.. Nie można lekceważyć słów. One mają swoje odrębne istnienie . Trzeba tylko umieć nimi kierować.. znać ich charakter, ich możliwości.. Wiem naprzykład, że one panią nie przyciągną ku mnie, ku Witołdowi Langowi.. tylko do przemysłu farmaceutycznego.. Ach jeszcze zapomniałem.. Jestem pani dłużny jedną trzecią część z 5.000 złotych, a jedną trzecią część Chylowi.

MARTA. Jaką jedną trzecią z 5.000 ?

WIT. W dniu wyrzucenia mnie przez Chyla zainkasowałem czek na 5.000 złotych.. Czek ten zrealizowałem i pieniądze zużyłem na jazdę do Palestyny.. Czy pani przyjmie część Chyla ?

MARTA. Proszę jemu samemu oddać.

WIT. Właściwie pani powinna te pieniądze przechować.

MARTA. Cóż znowu ?

WIT. (Po cichu tłumaczy, że Marta powinna te pieniądze zatrzymać.)

## SCENA 7.

(Na niebie szarzeje. Dnieje. Do drugiej klasy wchodzi jakiś pan wzburzony, mówi do siebie)

KOHN. (Drzemie i mruczy niezadowolony.)

KS SKAŁ. (Budzi się, przy wejściu wzburzonego jegomościa.)

WZB. PAN. Oszuści!.. pensje!.. 5.000 pensji, łotry!..

KS SK. Co się panu stało?

WZB. PAN. Co się mnie stało? To się stało pewnie i panu i temu który śpi i tysiącom panom, którzy jeszcze śpią, albo tańczą w kawiarniach, albo oddają się słodkim marzeniom o przyszłości swoich zabezpieczonych dzieci.. Oszuści!.. Dyrektorzy!.. Rady nadzorcze!.. Tantiemy!..

KS. SK. Więc co się stało?

WZB. PAN. Chce pan wiedzieć co się stało? Proszę czytać!  
(Podaje telegram)

KS. SK. Jezus Marjo! Bank Pokoju... (budzi Kohna) Panie doktorze... Panie doktorze! Bank Pokoju!..

KOHN. (Z trudnością, daje się obudzić) Co się dzieje?

KS. SK. Katastrofa!!!

KOHN. (Łapie się za głowę.. nogi i śmieje się) Książę pan raczysz żartować... Prima aprilis??..

KS. SK. (Nie może złapać tchu) Nie żarty mi są w głowie.. Katastrofa... Czytaj pan... (Ostupienie i przestraszenie) Gestykulacja zirytowanych, posiadaczy biletów drugiej klasy. Kohn wstaje, aby pójść za wiadomości Witolda, o bankructwie Banku Pokoju.)

(Florkiewicz wchodzi do przedziału, przez drzwi wiodące na pomost.)

## SCENA 8.

FLORK. Mam ziele i jeszcze coś... Ale się ucieszycie..

WIT. No mów pan..

FLORK. Coś dla mojej żony.. (do Chyla) Niech pan wejdzie do salonu.

CHYL. Marto!.. Moja Marto!..

WIT. Ja także jestem.. Tu jest spółka Witold Lang z rodziną i Marta primo voto Florkiewiczowa – Chylowa – „Przemysł farmaceutyczny“.

FLORK. Ja jeszcze jestem... Jeszcze żyję..

WIT. Wszystkie sprawy załatwimy z panem.. Przejdźmy na bok, tam pomówimy..

FLORK. Nie przeszkadzajmy mojej żonie i jej narzeczonemu..  
(odchodzą na bok rozmawiając.)

CHYL. Nie mogłem żyć bez ciebie Marto!.. I w tych ramach.

MARTA. A ja myślałam, że mnie już nie potrzebujesz, więc odeszłam.

CHYL. Pracowałem nad udowodnieniem prawdziwości hipotezy Witołda.. Sama mnie pchnęłaś do tej pracy.

MARTA. Nie chciałam, byśmy żyli z kłamstwa..

CHYL. I dlatego, dniami i nocami harowałem. Pamiętałem zawsze twoje słowa: „między nami nie może być kłamstwa“. Powiedziałaś je, kiedy pierwszy raz byłaś u mnie... Kiedyśmy otworzyli laboratorium.

MARTA. Pamiętam... Sama je urządziłam, twój pokój pamiętam... I to wszystko zburzyłeś...

CHYL. Bo, ciebie tam nie było...

MARTA. Przecież ciebie kochałam...

CHYL. W tych ramach, do których mnie włączono... nie było ciebie...

MARTA. Mogliśmy mimo wszystko być szczęśliwymi..

CHYL. Nie Marto... Mylisz się... Uświadomiłem to sobie. Nie przestałem o nas myśleć.. Pracowałem wiele i jednej stronie książki, czy rękopisu, nie obróciłem, bez myśli o tobie MARTA. Nie miałeś prawa niszczyć bytu rodziny.

CHYL. Zabezpieczyłem żonę i dziecko... Prócz 100.000 złotych umieszczonych w Banku Pokoju, będą otrzymywali umówiony procent z dochodów, uzyskanych ze sprzedaży mojego wynalazku i dzieła.

MARTA. I co teraz pocniemy ?

CHYL. Ty o to pytasz ? Świat jest taki szeroki.. piękny w swej rozległości. Zgubimy się wśród milionów ludzi i zagadnień.

MARTA. I znowu włączęga ?

CHYL. Włączęga ! Jakie to piękne ! Niemasz pojęcia, jak tęskniłem, za tem życiem wśród ciągłych zmian terenu i ludzi...

MARTA. Przecież to kiedyś miałeś i nie byłeś zadowolony ?

CHYL. Marto ! Wtedy nie widziałem niczego. Dopiero od kiedy ciebie kocham, patrzę na świat inaczej... Pamiętasz ? Samaś mi w pierwszej rozmowie powiedziała, że jestem egzaltowanym poetą. Tak jest, stałem się poetą.

MARTA. Mój biedny, obszarpany poeto !

CHYL. Obszarpany, biedny. Rzuciłem dostatki i podatki i rachunki za gaz i elektrykę, rzuciłem wszystko co jest pożyteczne, bo wszystko we mnie tęskni za niepotrzebnem, za



tobą, bo ty jesteś także kimś, kto w mojem życiu jest niepożytecznym... A ja za tobą tęsknię...

MARTA. Aleksandrze, a żołądek... a reumatyzm?.. (Po cichu)

WIT. Tylko tyle?

FLORK. Nic więcej... Pan się zaasekuruje na wypadek śmierci i od wypadku...

WIT. Nie uznaję wprawdzie asekuracji, jako że, ubezpieczenia odbierają człowiekowi poczucie odpowiedzialności. Człęk nie musi się troszczyć o siebie. Może kark skręcić, może się spalić, może zostać okradziony, może kogoś struć, bo jest ubezpieczony od odpowiedzialności... Co nam tedy pozostanie? Jaka samodzielność? Ale niech pana djabli porwą... daj pan papier...

FLORK. (podaje arkusz, Witold podpisuje).

### SCENA 9.

(Wreszcie Kohn odrywa się od zirykowanego pana i dąży do trzeciej klasy)

Wchodzi Kohn zbolaty.

CHYL. Tak Marto. Nie mogę być porządnym człowiekiem...

Czy ty mnie takiego kochasz?

MARTA. Kocham i jestem pełna troski.

KOHN. Witoldzie!.. Bank Pokoju!..

WIT. Co ci jest wuju? Trzecia klasa ci szkodzi... Od jutra będę także jeździł drugą klasą!

KOHN. (Zbolaty) Będiesz — mój kochany, — chodził piechotą, Bank Pokoju zbankrutował! (Wszyscy znieruchomieli. Witold stania się. Współtowarzysze podróży układają go, na ławke. Z odległych wagonów dochodzi melodia cymbałów walca „zatańczmy walca jeszcze jeden raz”. Stołce wschodzą jak w pierwszym akcie.)

CHŁOP. I tak człowiek, codziennie siada na pociąg.. Jedzie... z przyzwyczajenia...

ŻYD. Dobrze, że tak jest.. że się można przyzwyczaić do ranego wstawania... Byłoby gorzej, gdyby się człęk codziennie kłócił z tą koniecznością. Trzeba się pomodlić. (Wstaje i odmawia pacierz.)

WIT. Wujciu! Mnie jest niedobrze.. Ja się duszę... muszę... Zaprowadź mnie do drugiej klasy.

KOHN. Nie można synu... Nie masz biletu drugiej klasy. Nie martw się, to przejdzie.

WIT. Jakie to jest bolesne!.. Co powie Bela?

KOHN. Ona czeka na ciebie w Palestynie. Słodka twoja



Belcia.. samodzielna, nowoczesna... Zbierzemy się, wszyscy krewni i wyślemy cię do niej.  
CHYL. Straciłaś Marto i ty twoich 100.000.  
MARTA. Nie miałam ich... Nie liczyłam tak bardzo na nie. Znikł ostatni ślad naszego kłamstwa. Została tylko nasza miłość...  
CHYL. Czy wierzysz w naszą miłość ?  
MARTA. Wierzę, bo z gruzów twojego domu i z ruin banku i przedsiębiorstwa... zostało tylko to jedyne uczucie...  
WIT. (w międzyczasie otrząsnął się z omdlenia) Tak... Wujaszku idź do drugiej klasy, bo się przeziębisz. Otwórzcie okna, niech wejdzie świeże powietrze!  
FLORK. Co z naszą umową ?  
WIT. Podpisana i basta! Pokaż pan swoje ziele...  
FLORK. (Pokazuje)  
WIT. Przecież to jest fasola.. Łodyga.. Sucha łodyga fasoli.  
FLORK. Swojska, skromna pożyteczna roślina.. Cudownie działa... przeciw jak... pan nazwał ten cały kompleks chorób? Przemiana materji?  
WIT. No tak... tak! Pan ma rację.. Pan jesteś porządnym człowiekiem...  
FLORK. Do usług... Mój brat jest sędzią...  
WIT. Pani Marto! Chyl! Zakładamy wspólną gazetę dla sług i poradnię dla artystów, a z fasoli fabrykujemy pigułki... Wujciu idź do drugiej klasy!..

---

---

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77  
Tel. 25-68-63













F

22.597